Nr 20 (1583) Warszawa, 20 maja 1911 r. Rok XXXI

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **WŁODZIMIERSKA Nr. 5. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Pogrom czy federacja?

Wielu trzeba było tysiącoleci, aby ludzie w stosunkach wzajemnych pozbyli się pierwotnej dzikości, której bezpośredni odruch każe tępić, mordować i niszczyć ogniem i żelazem wszystko, co nieswoje, obce, a więc wrogie i wyjęte z pod prawa.

Dziś do wyjątków należy osobnik, w którym przyczajony atawizm taką się posługuje bronią w walce o byt; kto sam się powściągnąć nie umie od nazbyt bezpośrednich odruchów, tego powściąga... policja.

To też w krajach praworządnych, nieraz pod egzotycznym nawet niebem, pośród różnokolorowych rzesz, człowiek współczesny nie drży o swoją skórę, nie tai się lękliwie, nie zna, co to gromadna panika. Jest bezpieczny.

Wprawdzie wyrugowana ze współżycia jednostek przemoc zbrojna panoszy się dotąd bezwstydnie w stosunkach międzypaństwowych, wprawdzie prawo publiczne międzynarodowe o tysiąc lat zostaje w tyle za prawem cywilnym, i narody silniejsze bez skrupułów imają za broń, dyktując głosem dział warunki istnienia narodom słabszym — ale i tu postęp znać nieustanny, choć powolny i przerywany co chwila paroksyzmem gorączki wojennej; w ciągu lat ostatnich idea zgody powszechnej, na autonomji i federacji oparta liczne odniosła tryumfy. I nadal odnosić je będzie, aż opanuje świat cały.

Ale przypuszczać należy, niestety, że do ziem rosyjskich zawita naostatku. I spotka się tu z oporem zaciętym, nieprzejednanym, fanatycznym; ale napotka również i szały uniesień radosnych i błogosławieństwa miljonowych rzesz, dręczonych nieustanną zmorą bojaźni o życie i mienie.

W obecnych bowiem warunkach normą tego życia jest *niepewność*. Ludziom i ludom dolega tu poprostu brak bezpieczeństwa, brak rzeczywistych, trwałych rękojmi bytu.

Na tym niezmiernym obszarze byt 160 miljonów ludzi waha się tragicznie między dwoma biegunami istnienia: z jednej strony żywy wciąż i czynny atawizm norm pierwotnych — zwany grzecznie „zmysłem dziejowym"; z drugiej — mglisty zarys wolności osobistej i zbiorowej, ujęty w ideę federalizmu.

Te dwa krańce mogą pozostać w zawieszeniu: ani inorodcom nie grozi masowa rzeź (tylko częściowy niekiedy „pogrom") ani, na razie przynajmniej, nie świta im blizka era politycznego samorządu.

Ale w tę lub tamtą stronę chyli się szala ich losu i owo chwianie i chybotanie długie lata będzie głównym i znamiennym motywem tutejszego życia.

W tej chwili właśnie właściwy na to nacisk położył prezes rosyjskiej Rady Ministrów, pytając w toku rozpraw „wielkiego dnia" w Izbie:

— Co zwycięży: zmysł dziejowy na kresach zachodnich, czy też federalizm?

Premjer pragnie, by zwyciężył „dziejowy zmysł", idea bowiem federalizmu przesądnym napawa go lękiem.

I ten obraz wybitnego twórcy polityki kresowej, kładącego na szale wyostrzony miecz władzy wykonawczej — jest bardzo wymownym i złowieszczym symbolem.

* * *

Chcąc jakby przyspożyć dramatowi życia rosyjskiego najwyższego napięcia grozy, genjusz dziejowy wplótł weń kwestję żydowską...

Ze wszystkich spraw plemiennych i narodowych, które rządowy nacjonalizm tak usilnie jątrzy

i zaognia, ta sprawa jest najzapalniejsza i najdalsza chyba od rozwiązania.

Wspomniany atawizm ze szczególnym stosuje do niej upodobaniem cały zasób swoich odruchów bezpośrednich, do krwawego dochodząc obłędu.

A znów idea równouprawnienia i tolerancji ostrożnym, niepewnym i chwiejnym skrada się ku niej krokiem, chowając się za płoty różnych ograniczeń, utrudnień, podziałów kurjalnych i uprzedzeń towarzyskich, czego liczne dowody widzimy nawet w Europie Zachodniej.

Kwestja żydowska w Rosji ma to do siebie, że stawia problemat współżycia zbiorowego w całej rozległej skali, od końca do końca, pytając: pogrom? czy federacja?

Albo — parafrazując dylemat p. Stołypina, stawiony d. 10 maja:

— Co zwycięży: tradycja Kiszyniowa, Homla, Kijowa i Odesy — czy też instynkt porządku i technika nowoczesnego życia społeczeństw zachodnich?

I nic dziwnego, że cała w państwie opinja z niepokojem i lękiem zadaje sobie to pytanie.

Bo oto w tej chwili właśnie, kiedy system „kresowy" p. Stołypina spotkał się z wyraźnym potępieniem obu Izb, nacjonalizm zoologiczny, poparty snadź „zmysłem dziejowym" rzucił na stół największy swój atut w formie sprawy o *mord rytualny* w Kijowie, w czasie żydowskiej Wielkiej Nocy roku bieżącego.

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

Stając d. 10 maja w obliczu Izby nie łudził się chyba p. Stołypin co do wyniku rozpraw na temat interpelacji o nieprawne stosowanie § 87. Sprawa była zgóry dla premiera przegrana i właściwie cała jego przemowa miała cechy czczej formalności, dokonanej w sposób możliwie poprawny, by zadość czynić obowiązującym przepisom. Mimo to spróbował p. Stołypin oddziałać na swoje audytorjum za pomocą dwóch wypróbowanych nieraz forteli, z których pierwszy polega na wzajemnym na siebie podszczuwaniu Izby i Rady Państwa, a drugi streszcza się w lirycznym wezwaniu do kultu „idei rosyjskiej" na kresach. Oba te środki, dotychczas niezawodne, tym razem zawiodły.

Izba, pomimo ostrych nieraz zaatargów i różnic z Radą Państwa, zrzekła się ponętnej propozycji mściwego wyrównania dawnych swoich rachunków z „dostojnymi starcami". Kadet zaś Makłakow, którego mowa gorąco była oklaskiwana, podjął śmiało manewr p. premiera, by wykazać całą jego w danej chwili niestosowność.

„Prezes Rady ministrów — rzekł Makłakow — nie zrozumiał jednego: że dla Dumy sprawa ziemstw w 6-ciu guberniach Zachodnich to bagatela w porównaniu z kwestją — czy Rosja ma być państwem praworządnym, czy też folwarkiem Stołypinowskim? Bywaliśmy nieraz zrażeni wrogimi nam uchwałami Rady Państwa, lecz tylko smuciliśmy się, ponieważ to prawo Rady; natomiast oburzamy się, kiedy te nasze prawa są nielegalnie wprowadzane przez prezesa Rady ministrów. Ten ostatni w niezrozumieniu Dumy doszedł do tego, że — sam nie wiem, na jakiej zasadzie — wyraził tutaj przypuszczenie, że sama Duma będzie uczestniczyła w przyszłym pogwałceniu art. 87-go, i że sama Duma bezwarunkowo odrzuci prawo o staroobrzędowcach w tej formie, w jakiej go przyjęła Rada państwa w przeddzień zamknięcia sesji, aby skłonić tym prezesa Rady ministrów do przeprowadzenia prawa sposobem nielegalnym".

Fortel premiera, jak widać, spalił na panewce; nie większe miał powodzenie drugi z wymienionych motyw liryczny, zawarty w następującym zdaniu: „Panowie, rząd ze wzruszeniem wnosił ten projekt (ziemstw kurjalnych) po raz pierwszy. Czy zwycięży jedność narodowa, przez którą są tak silni nasi wrogowie na zachodzie i wschodzie, czy też przedstawicielstwo zacznie nową federacyjną epokę historji rosyjskiej?

Zwyciężył, jak panowie wiecie, zmysł historyczny. Posiano nasienia nowych rosyjskich zasad politycznych. Jeżeli nie my, to pokolenia przyszłe zobaczą ich plon; lecz cóż się stało? Po części wypadkowo, po części umyślnie, ludzie, którzy albo nie dojrzeli tych młodych roślinek, lub zlękli się ich,

ECHA PRAWDY.

Ludożercy.

Bynajmniej nie tych zalęknionych i chorych Papuasów mamy na myśli, których pokazywano przy ul. Marszałkowskiej, jako „najdziksze" okazy ludzkiego zwierzęcia; to bowiem widowisko nie budziło trwogi, lecz politowanie i odrazę.

Przeliczył się, omylił się srodze Grek przedsiębiorca, posiadacz tych dwóch nękanych kaszlem Papuasów; nam tacy dzikusi nie imponują, bo stokroć krwawszych, straszniejszych i dzikszych mamy dokoła siebie ludożerców.

Nie są oni bynajmniej trzymani w klatkach i pokazywani za pieniądze; przeciwnie, oni to mogą każdej chwili zapełnić po brzegi wszystkie turmy ciałami swoich ofiar, a co do pieniędzy — mają ich zawsze, jak lodu.

Niekiedy pewna ich część znajdzie się wprawdzie w położeniu mniej przyjemnym, przed kratkami sądu i w obliczu mnogich świadków; wychodzą wówczas na jaw rzeczy niesłychane, potworne, bajeczne, a nazwiska Weismanów, Hartingów, Azefów, Reinbotów, Raczkowskich i Wonlarlarski zdobią przez długi czas kolumny dzienników.

Poczym powraca wszystko do dawnego stanu, bo na miejsce obezwładnionych ludożerców przybywają nowi, ze świeżym apetytem...

Niezadowoleni.

Tyle mamy, niestety, rzetelnych powodów do niezadowolenia, tyle życie nasze nastręcza tematów do słusznych żalów i cierpkiej krytyki, że, dalibóg, nie mamy najmniejszej potrzeby wynajdywania strapień urojonych.

A jednak co chwila słychać w prasie głosy sztucznych utyskiwań i zbędnej zupełnie krytyki. Oto, naprzykład, gdy ludzie kompetentni wykazują z faktami w ręku, że przemysł polski dystansowany jest i bity na całym Wschodzie — jednocześnie powstała w części prasy naganka na ziemian lubelskich za to, że śmiałą uczynili próbę lokaty swoich kapitałów gdzieś na chińskiej granicy.

A oto inny przykład: kiedy widocznym jest, że wobec niesłychanego naszego zacofania zadaniem prasy postępowej jest nawiązać nici idei pozytywnych między nami a oświeconym Zachodem — pewien

zaczęli przydeptywać je nogami. (Głos na lewicy: oj! oj!)".

To co nazywa premier z emfazą „zmysłem historycznym" (a nasi Stołypinowie zwą „egoizmem narodowym") zyskało już bardziej popularne i dużo trafniejsze miano „zoologicznego nacjonalizmu".

Wyznają go dotąd pewni skrajni prawicowcy, nacjonaliści i Rosjanie „kresowi", dla których „obrona idei państwowej" jest namacalną poprostu korzyścią, wyłącznym środkiem utrzymania. Ale wśród poważnej większości ogółu budzi się w Rosji jakby nieufność i niechęć wobec tego ciągłego szczucia na inorodców, co nietylko obniża kulturę rosyjską i opóźnia tempo jej rozwoju, ale nadto wpływa rozkładowo na siły obronne państwa, które dziś w trudnym znajduje się położeniu.

To też jedynym wyraźnym i, powiedzmy, pożądanym skutkiem całego przesilenia jest niezaprzeczony wzrost prądów pojednawczych wśród zachowawczych a nawet prawicowych kół rosyjskich, czego dowodem powstanie nowej frakcji „nacjonalistów niezależnych".

Z przemowy p. Stołypina należy wyróżnić pewien bardzo znamienny ustęp, który wśród opinji naszej, zbliżonej do *Gazety Warszawskiej*, kłopotliwe wywołał milczenie.

Broniąc systemów kurjalnych na kresach, powołał się premjer i na opinję polską w słowach następujących:

„Jeżeli zważymy, że nawet Polacy z miast Królestwa Polskiego pochwalają milcząco obronę ich przed przewagą żydowską w drodze wyłączenia żydów w osobną kurję narodową, jeżeli tego samego w bliższej lub dalszej przyszłości zażądają Niemcy z kraju Nadbałtyckiego w stosunku do Estów i Łotyszów, to zrozumiecie panowie, jak skromna była próba propozycji prawodawczej obrony ludności rosyjskiej w sześciu guberniach zachodnich".

Zwracaliśmy w swoim czasie uwagę roztargnionych pp. endeków, kruszących kopje o system kurjalny w samorządzie, że nie dwie kurje będziemy posiadać, jeno trzy: rosyjską, polską i żydowską. Sens owego aparatu polega na tym, że kurja rosyjska upośledza polską, a polska — żydowską.

Jeśli t. zw. Narodowa Demokracja sankcjonuje ostatnią formę upośledzeń, to tym samym sankcjonuje i pierwszą.

Nie wierzono nam, gdyśmy tę rzecz tak prostą wyłuszczali na łamach zeszłorocznej *Prawdy*; dziś powtarza to samo rzeczywistość, której — trzeba wierzyć.

Włochy

(w 50-cio letnim jubileuszu pod względem politycznym i gospodarczo-społecznym).

II.

Do rządu Włoch niema żadnego zaufania, zna go tylko z nienasyconej chciwości Skarbu. Administracja państwowa wzorowała się na centralizmie francuskim, jednakże nie zdołała usunąć ducha partykularyzmu. Urzędnik prowincji północnych uważa za największe nieszczęście przeniesienie na południe, odwrotnie myśli południowiec. Mimo wrodzonego zamiłowania wolności, napływ na posady urzędnicze jest ogromny. Wynika to ze sceptycyzmu Włocha, który, oceniając niepewne życia koleje, woli osiąść na czemś pewnym („certo"), choćby to i bardzo małym było. Ponieważ zaś drogą stosunków z posłami można się dobić szybko nawet wysokiego szczebla w karjerze urzędniczej, następstwem tego jest, że Włochy mają dwa razy tyle urzędników, co cesarstwo niemieckie. Jakie skutki stan taki pociągać musi łatwo wywnioskować.

Od 1900 r. zaczyna socjalizm zdobywać wśród urzędników coraz więcej wyznawców. Ojcem socjalizmu naukowego włoskiego jest prof. Antonio Labriola. Z upadkiem ministerjum Crispiego w r. 1896 potęga jego coraz więcej wzrasta. Do najwybitniejszych postaci ruchu socjalistycznego należą Enrico Ferri, reprezentujący dawniej kierunek rewolucyjny, Turati i Bissolati, zwolennicy ewolucjonizmu. Ten ostatni kierunek obecnie zwyciężył. Wodzem rewolucyjnych syndykalistów jest prof. Arturo Labriola. Prócz socjalistów mają w niektórych miejscach pewne znaczenie anarchiści.

O republikanach, jako czynniku przedstawiającym pewną siłę, nie można obecnie mówić, jakkolwiek teoretycznie istnieje dosyć, młodych zwlasz-

---

dziennik postępowy na prowincji z niezwykłą i mściwą jakby sumiennością wylicza wszystkie „grzechy" rządu francuskiego, który snadź osobiście jest mu nienawistny.

Ten chorobliwy jakiś, sztuczny i wysilony malkontentyzm zwraca się ze szczególną lubością przeciw zamierzeniom nielicznych u nas czynnych i twórczych jednostek.

Oto np. powstał projekt nowego teatru; dzięki prywatnej inicjatywie stworzono konsorcjum, zebrano znaczną sumę, rozpoczęto budowę gmachu...

I oto zaraz, tu i owdzie, ozwały się syki gadzinowe. Inicjator nowego teatru jest podobno żydem; wystarczający to powód do zgiełkliwej kampanji ze strony zazdrosnych improduktywów aryjskich i różnych dozgonnych śledzienników, gotowych nową imprezę w zarodku raczej zniszczyć, niźli pozwolić, by żyd był twórcą lub kierownikiem nowego teatru.

Zacietrzewieni w swej animozji krytycy, posunęli się nawet do żalów nad... losem naszej arystokracji, która tak dobrodusznie i chętnie daje różnym obrotnym żydom krocie tysięcy rubli na Filharmonje i teatry.

Co do nas (a nie można nas chyba posądzić o bezwzględny jakiś filosemityzm) jesteśmy zdania, że naród polski winien żywić wdzięczność dla takiego żyda, który potrafi wycisnąć z magnata polskiego pieniądze na instytucję użyteczności publicznej. Takiemu, który ten cud zdziałać potrafi, wolno być nawet interesownym i mieć na oku własne także korzyści; nie chodzi bowiem o takie lub inne motywy twórczego czynu, lecz o jego objektywne dla wszystkich znaczenie..

I niech się zżymają i pienią malkontenci: p. Arnold Schifman jest dzielnym i zasłużonym człowiekiem, skoro potrafił, jak niesie fama, zmusić kilku hrabiów i książąt do wydania znacznych bardzo sum w sposób rozumny i użyteczny.

Czyja wina?

Ktoś, pozbawiony oględności, zabiadał w *Kur. Warszawskim* nad upadkiem poważnych zagadnień ideowych w umysłowości obecnego pokolenia. Sięgnąwszy dłonią do serca, uczuł w nim nagle ranę tak wielką, jak wielki jest obszar spustoszeń dokonanych w społeczeństwie przez płytkość i powierzchowność myślenia, a potym rozejrzał się dokoła i spytał: Czyja wina?

Demon literatury sensacyjnej porywa całe legjony dusz w szpony elementarnego barbarzyństwa!

Operetka, krotochwila i kabaret panoszą się nie-

cza, wyznawców Mazziniego. Poważnymi wrogami jedności Włoch są klerykali z Watykanem na czele. Zaborcze instynkta Watykanu datują się od czasów Cezara Borgia, który pierwszy pracował świadomie dla zjednoczenia Włoch. Papiestwo, nie mogąc się przeciwstawić wzmocnionym państewkom włoskim, oparło się na dynastji Habsburgów. Rewolucja francuska zmieniła stosunki. Napoleon I położył kres świeckiemu panowaniu papieża. Po jego upadku tym skwapliwiej uciekło się papiestwo pod opiekę dwugłowego orła Habsburgów, łączył ich bowiem jednaki cel — niedopuścić do zjednoczenia i siły państw włoskich. Przeciwko reakcji i despotyzmowi obydwu sprzymierzeńców musiał się naród bronić sprzysiężeniami. W r. 1847 odetchnęły całe Włochy. Obrany papieżem Pius IX okazał się zwolennikiem jedności Włoch, przyświecała mu bowiem myśl przewodnictwa papieża nad Włochami. Jednakże iezuici zniewolili go wkrótce do zboczenia z tej drogi. Po r. 1850 zapanowała szalona reakcja. W r. 1860.nastał ponowny zwrot. Cavour, twórca nowoczesnych Włoch, rozpoczął walkę z Watykanem.

Dekretem z 1861 r. ogłosił Rzym jako stolicę państwa. W odpowiedzi podburzył Watykan wszystkie sobie wierne żywioły. W połudn. Włoszech wybuchła wojna, mająca na celu przywrócić Burbonów. Dziesięć lat potrzeba było, by Rzym stał się de facto stolicą Włoch. Stało się to w r. 1870. Od tej chwili papież uważa króla włoskiego za rabusia państwa kościelnego, a siebie za jeńca i mimo wielokrotnych prób, do pojednania nie przyszło. Racja stanu watykańska nie pozwala na to papieżowi. Zresztą sam Watykan musi być zadowolonym z tego rodzaju stanu rzeczy. Z jednej bowiem strony państwo, we własnym interesie, musi czuwać nad całością Watykanu, z drugiej strony niewola ojca świętego daje się znakomicie spieniężać. To jednak nie przeszkadzało Watykanowi knuć wszelkiego rodzaju intryg przeciwko państwu włoskiemu. Obrał on sobie do tego dwie drogi. Z jednej strony zabronił katolikom brać udziału w życiu politycznym, z drugiej łączył się z wrogami państwa. Za Leona XIII przedstawicielem wybitnym tego drugiego odłamu polityki był kardynał Rampolla. Pracował on wszelkimi siłami nad zniszczeniem trojprzymierza, sądząc, że upadek trojprzymierza będzie upadkiem Włoch. Bystrzejsi antyklerykali, szczególnie minister Crispi, ocenili należycie zamiary tego kardynała. Zaraz też z początkiem jego urzędowania w r. 1887 rozpoczęli z nim wojnę. Postanowili przedewszystkim umęczonemu przez kler myślicielowi Giordano Bruno zbudować w Rzymie pomnik. Rada miasta nie chciała na ten cel odstąpić gruntu. Została zato rozpędzoną. Pomnik stanął 9 czerwca 1889 r. wśród wielkiego podniecenia umysłów. W r. 1895 premier Crispi postanowił uczcić wspaniale srebrne gody królestwa. Liberali nie posiadali się z zachwytu. Rampolla jednak postanowił pokazać potęgę Watykanu: Don Carlos, król Portugalji, przyjął zaproszenie swego wuja Humberta na to uroczyste święto. Wybrał się tedy w podróż. Kiedy jednak zbliżał się już do granic włoskich, kazał mu Rampolla zakomunikować, że na dalszą jego podróż odpowie proklamowaniem republiki w jego państwie. (*sic!*) Don Carlos zawrócił z drogi, Watykan tryumfował. Mógł udowodnić światu swą potęgę, mocą której żaden z katolickich monarchów nie śmiał odwiedzać wyklętego króla włoskiego.

W r. 1904 prezydent Francji Loubet zignorował „ukaz" głowy katolików i złożył wizytę królowi włoskiemu. W tym samym roku Watykan został zmuszony przez katolickich przedstawicieli kapitału do cofnięcia zakazu, mocą którego katolikom nie wolno było brać udziału w życiu politycznym. Watykanowi odtąd coraz gorzej się wiedzie. Ostatnią największą klęską był dla niego wybór w r. 1907 żyda, wolnomularza Nathana na burmistrza miasta Rzymu. Sprawa Ferrera dodała antyklerykałom włoskim nowego impulsu do działania. Kurja watykańska drżała o swą całość. Konkretnym następstwem tego ruchu było przyjęcie w 1910 r. ustawy o wprowadzeniu państwowej szkoły elementarnej o charakterze świeckim.

Franciszek Dorosz.

Listy z Krakowa.

IV.

Uroczystości majowe. Zjazd słowian południowych.

Pierwszy i trzeci maja dni uroczyste i radosne stały się niestety symbolem rozłamu w społeczeństwie naszym. Zgromadzenie robotników na 1 Maja odbyło się w roku bieżącym przy udziale tysięcy tłumów tylko robotniczych i zastępu młodzieży radykalnej. Pod ich czerwonymi sztandarami maszerowały

---

pomiernie, wykradając ogółowi te kilka chwil wolnych od pracy zarobkowej, jakie każdy przeznaczyć winien na pogłębienie samokrytycyzmu.

Książki o treści naukowej butwieją na półkach księgarskich, nie znajdując nabywców.

Tragedje, dramaty, sztuki na konfliktach psychologicznych oparte, — nie budzą w nikim zainteresowania!

Tak jest. Skargi słuszne. Ale, jak można być tak dalece nieoględnym, aby podnosić je na łamach organu, który z osobliwą pieczołowitością hoduje grzędy kwiecistej bezmyślności, podnosić je w gronie kolegów, mając po prawicy p. Rabskiego, a na przeciwko p. Dębickiego z p. Dobrowolskim, czyli lukrecję posuniętą do wtórej potęgi?

Wszak pamiętamy jeszcze ów żar entuzjazmu, z jakim p. Rabski pisał o świeżo wystawionej farsie: ile „musującego" sentymentu, ile rzewnego ciepła było w tych kilku wyrazach ostatnich, które poświęcił psu, grającemu wybitną w sztuce rolę! „Zacne psisko!" — pisał p. Rabski,—tak się zgrywało sumiennie, jakby wiedząc, że nazajutrz napisze o nim recenzję — on, pan Rabski.

Jakże blado i szaro od gorącego tła tych rozrzewnień odbija zimna obojętność *Kurjera Warszawskiego* w traktowaniu dramatu, nad którego pono upadkiem — płacze. Dział ten przedewszystkim, jako mniej ważny, powierza się p. Dobrowolskiemu. Ów zaś, nie krępuje się niczym, dając swobodny upust swoim smakom. Oto ustęp z recenzji jego o wznowionej świeżo tragiedji Słowackiego: „Beatrix Cenci": „...Straszny melodramat to... znęcający się nad... bogu ducha winną publicznością, którą autor oddaje na tortury swej inkwizycji poetyckiej!... A my (kto — my?? *Przyp. Red.*), jakby odpłacając się zasłużoną niewdzięcznością za takie wrażenia, pozostajemy obojętymi świadkami". . i t. d.

P. Dobrowolski tedy w stosunku do poety apostołuje obojętność i zimny odwet niewdzięczności, jako zasłużoną karę za znęcanie się nad nim, p. Dobrowolskim.

O, bogowie zemsty! czymże tedy publiczność czytająca odpłacić powinna p. Dobrowolskiemu za to, iz od trzydziestu lat znęca się nad nią, pióra nie wypuszczając z ręki?!

w pochodzie również tysiączne rzesze, ale inne stronnictwa świeciły nieobecnością. Gazety stwierdziły z tryumfem, że zecerzy nie strejkowali poza drukarnią Naprzodu, a sprawozdania pism wszelkich odcieni obniżyć się starały współudział zwolenników święta pracy.

A jednak święto robotnicze dało, jak co roku, świadectwo siły i popularności partji socjalno-demokratycznej, wyraźnie zaznaczyło istnienie kilku setek zarganizowanych kobiet, okazało wreszcie jak kulturalnie, swobodnie i wesoło potrafią się robotnicy bawić, opodatkowując się jednocześnie ofiarnie na cele przyszłych wyborów. Jak te wypadną niewiadomo, bo geometrja wyborcza starannie pomieszać się starała wyborców — robotników z kołami mieszczaństwa, wrogo dla socjalistycznych usposobionego posłów. W najbliższej zaś okolicy Krakowa w jeden wyborczy okręg złączono chłopów, posiadaczy własności, z robotnikami podmiejskimi. Ba, nawet przed tygodniem odcięto czworobok ulic od dzielnicy Wesoła, gdzie kandydować będzie Ignacy Daszyński, osłabiając tym manewrem szanse radykalnego kandydata o 450 głosów.

W pięknej uroczystości 3 Maja udział wzięły jak co rok wszystkie stronnictwa, stowarzyszenia, korporacje, szkoły, ciało profesorskie uniwersytetu, odsunięto od niej tylko przedstawicieli robotniczych, którzy po kilku niemiłych próbach uczestnictwa w ogólno-narodowych obchodach odsunęli się od corocznego narodowego święta. Pochód był barwny i piękny, tylko haracz, który w postaci składek na Tow. Szkoły Ludowej każdy uczestnik, czy przechodzień, dawać musi do puszek i na stoliki, wypadł mniej hojnie niż lat innych. Zebrano w Krakowie 6603 korony.

O zjeździe Słowian południowych w d. 29 i 30 kwietnia donosiły już pisma codzienne. Sprostować jedynie trzeba, że nie był on wcale popularny, jakkolwiek, w zasadzie, każdy ze słowianofilstwem w duchu pobratymstwa z narodem słoweńców, który energicznie dąży do narodowego odrodzenia, współczuć może i musi.

Słoweńcy, naród, dochodzący zaledwie miljona dwakroć stu tysięcy liczebności, rozproszeni po wszystkich krajach austrjackich, zwartymi grupami zamieszkują południe państwa, sięgając aż po Adrjatyk. Właściwą ich siedzibą jest urocza Kraina, gdzie przedstawiają oni ogół mieszkańców (475 tys. Słoweńców w 1900 r.) Poza tym 409 tys. Słoweńców zamieszkuje Styrję, gdzie zmieszani są z dwa razy liczniejszą ludnością niemiecką, 213 tys. Słoweńców łącznie z Włochami i serbo-kroatami zaludnia Pobrzeże, wreszcie 90½ tys. Karyntję. Naród to chłopski, który nie ma politycznej samodzielnej historji, ale od paru lat dziesiątków brak przeszłości zastąpić pragnie energicznym budowaniem przyszłości. W braku świeckiej inteligencji, ster oświatowego i odrodzeniowego ruchu objęło duchowieństwo. To też i organizacje oświatowe, których stworzono 300 pod hasłem jak najszybszego zwalczania analfabetyzmu kierowane są przeważnie przez księży. Szybko szerzy się walka z alkoholizmem, na czele której stoi znany i w Warszawie ks. Lenard. Podkład tego narodowego i oświatowego ruchu jest katolicki i polityczny.

W imię też zjednania przyjaciół politycznych, nawiązali Słoweńcy przyjaźń z Polakami, a chcąc dać jej wyraz, założyli w d. 3 listopada ubiegłego roku w Lublanie „Związek przyjaciół narodu polskiego". Odpowiedzią na te dowody sympatji stało się przyjęcie słowian południowych, z marszałkiem Krainy Szukljem na czele, jego zastępcy ks. dr. Zampe, historyka ks. Antoniego Koblara i przedstawicieli różnych organizacji Słoweńców, takich, jak walcząca z niemiecką organizacją Südmark, straż słoweńska, której organem jest Słowenec, towarzystw gimnastycznych Orłów, którzy odpowiadają naszym Sokołom, towarzystw oświatowych i akademickich. Podczas zjazdu założone zostało „Tow. przyjaciół Słowian południowych". Oba towarzystwa mają cel wzajemnego zbliżenia i poznania narodów słoweńskiego i polskiego przez kursa językowe, informowanie prasy, gospodarcze biuro pośrednictwa i wycieczki zbiorowe. Moment polityczny przy założeniu towarzystwa w Krakowie zręcznie i śmiało podkreślił prezydent Leo, dodając do wyrazów czci i uznania dla dzielnych usiłowań narodu słoweńskiego, życzenie „oby te hasła i tradycje, które dawniej w parlamencie austrjackim łączyły oba narody, odżyły na nowo. Leży to w interesie obu narodów, które walczą pod hasłem równouprawnienia".

Nic dziwnego, że smutne doświadczenia naszej słowianofilskiej polityki, a zwłaszcza ostatnia neosłowiańska impreza, zraziły społeczeństwo nasze, stale przytym zwalczane przez Czechów na kresach śląskich, do wszelkiej ze słowianami łączności. Poza tym, nad zbliżeniem się do Słowian południowych od lat kilku pracuje w Krakowie *Świat Słowiański* pismo dobrze redagowane, ale mocno klerykalne, a organizacji całej u nas nadano od początku ściśle katolickie piętno. Nie przeciw przekonaniom katolickim, które o ile są szczere, zawsze szanowane być winny, a w społeczeństwie naszym stanowią siłę, występuję tutaj, ale sądzę, że błędnym było podkreślanie, iż te przekonania najsilniejszy między nami i słoweńcami stanowią węzeł. Sam fakt wyciągającej się do Polaków bratniej dłoni tak dziś rzadki, owa historja Słoweńców, jak zaznaczył ks. dr. Zampe, pisana płomieniami chat, które gorzały i krwią, która się lała w tym samym czasie, gdy Sobieski bronił Wiednia od Turków, a zatym wspólne błędy polityczne i wspólne ofiary, charakter ludu obu szczepów, wystarczyłyby do nawiązania braterskiego węzła.

Na zjeździe wygłoszono ze strony polskiej parę dobrych i wymownych referatów. Prof. Zdziechowski oświetlił różnicę między słowianofilstwem i panslawizmem, dr. Koneczny przypomniał, że idea słowiańskiego braterstwa wyszła właściwie od myślicieli i wieszczów polskich, i że my dziś nic jej podnieść powinniśmy, przeciwstawiając się jednocześnie zaborczym zakusom neoslawizmu Bobrińskich. Zachęty do wzajemnego poznawania się przebrzmieć nie powinny bez echa, myśl jest słuszna, jakkolwiek wyszła z obozu klerykalnego, a może inicjatywa pobratymstwa ze Słoweńcami odbije się kiedyś echem, bodaj na stosunkach polsko-czeskich.

D-r Z. Daszyńska-Golińska.

Stanisław Brzozowski.

(Dokończenie).

Drugą osią filozofji Brzozowskiego jest praca, jako pierwiastek kiełznający swobodę, która inaczej rozproszyłaby się w próżni. Praca wytycza swobodzie zadania, czyni ją ciałem. Myśl Fichtego:

„Swiat jest materją naszego obowiązku" powtarza się u Brzozowskiego o tyle, że świat zewnętrzny pojmuje on także jakoby coś wtórnego, podporządkowanego, coś co jest wprawdzie oporem lecz oporem tylko po to, aby w nim można, rzeźbić, aby ludzka swoboda mogła się urzeczywistniać w nieskończoność, w coraz wyższych potęgach. W tym zapatrywaniu znać już poetę, który pod wszystkie zjawiska podkłada swój artystyczny dualizm: talentu i materjału. Dualizm zwykły: ja i świat, duch i ciało, zamienia się u Brzozowskiego na dualizm swobody i pracy. „Ja" dla niego jakby nie istniało; gdy mówi o człowieku, to ma na myśli nie „ja" lecz „jażń", człowieka, ja-

ko gatunek nie jako indywidualność. „Człowiek" znaczy u niego tyle co społeczeństwo, ludzkość; poszczególne narody i indywidua mają sobie wprawdzie powierzone pewne „jedyne" problematy, tak że na tym obwodzie mogą panować najzawilsze dywergencje, lecz jest to ostatecznie tylko podział pracy. Swoboda człowieka rozwija się i narasta jak wyspa koralowa wynurzająca się z oceanu. Pomimo ogromnych usiłowań, aby omijać wszystko, co trąci substancjalizacją, nie może się jednak Brzozowski przy określaniu pojęcia „pracy" obejść bez pomocniczych obrazów w rodzaju: głuchej, kamiennej nocy poza nami, lub wrogiego żywiołu, z którym zmaga się człowiek, wyrywając mu kawały swej swobody. Jest to kantowska „rzecz sama w sobie" ale widziana przez pryzmat walki. Stanowisko człowieka można najlepiej porównać z twórczością górnika kopiącego od wieków tunel w nieznanym mu materjale, który grozi ciągłymi niespodziankami. Światem byłaby nie góra, w której kuje górnik, gdyż tej nie znamy i nic o niej powiedzieć nie możemy; światem jest tylko płaszczyzna zetknięcia się górnika z tym czymś, którego nawet nie wolno nazwać „coś", gdyż już i słowo „coś" należy do płaszczyzny świata, do schematów pomocniczych naszej pracy. Świat nie jest nigdy gotowym, gdyż owa płaszczyzna zmienia się nieustannie tak dla jednostki jak dla ludzkości wogóle; cofa się lub przybliża, rozszerza lub zmniejsza w miarę wzrostu lub osłabienia wysiłku ludzkiego. Od strony człowieka ta płaszczyzna nazywa się swobodą, od strony nieznanego żywiołu pracą.

Zdaje mi się, powyższe porównanie najlepiej ujmie filozofję Brzozowskiego; tak przynajmiej ja ją rozumiem. Porównanie to jest wzięte ze świata techniki, ale bo też w wizji filozoficznej Brzozowskiego główną rolę odgrywały skojarzenia wzięte ze świata techniki inżynierskiej, typem zaś miarodajnym dla wszelkiego typu pracownika, był „pracownik mięśniowy" czyli robotnik. Wszystkie rozwikłania i nieporozumienia pojmował Brzozowski jako warjanty oddarcia myśli, budującej pomocnicze schematy, od pracy mięśniowej, tj. od właściwej płaszczyzny zetknięcia z żywiołem. Dlatego w rewolucjach społecznych widział Brzozowski etapy na drodze do „wyswobodzenia pracy" tj. pogodzenia i zbliżenia zbłąkanej myśli ze zbłąkaną pracą. — co jednak może nastąpić tylko od strony pracy, jako jedynego czynnika pierwotnego i istotnie twórczego. Socjalizm jest dla Brzozowskiego tylko symptomem uświadamiania się pracy, wybijaniem się nowego typu „ideogenetycznego" a nie klasy. Jest on — zwłaszcza w późniejszych pracach — socjalistą tylko o tyle, o ile odrzuca wyższość lub równorzędność pracy duchowej z pracą mięśniową. Celem socjalizmu jest w jego oczach nie egoizm klasowy, lecz organizacja pracy, w celu utrzymywania osiągniętego już przez ludzkość wyrobienia technicznego i podnoszenia go na coraz wyższe poziomy. Naród polski utrzyma się tylko wtedy, jeżeli zdobędzie prawdziwą wolę do kultury, zdoła wytworzyć w swej myśli system wartości, obrazów, wzruszeń, pozwalających mu prowadzić walkę ekonomiczną na najwyższym poziomie technicznym, — własnemi siłami rozwijać tę technikę, stwarzać warunki niezbędne dla jej zachowania i wzrostu, a nadto posiędzie we własnej myśli moc wychowawczą, prowadzącą jednostkę na ten poziom psychologicznego i biologicznego rozwoju, jaki jest niezbędny dla utrzymania i wzrostu ekonomiczno-technicznego organizmu i do dalszego rozwoju tej właśnie „wykonawczej mocy".

Zawiesić nad narodem polskim nieustanną wizję pracy i swobody — to było marzeniem Brzozowskiego. Swobodzie zaś, według Brzozowskiego towarzyszy nieodstępne widmo: wszechodpowiedzialności. Człowiek będzie tylko tym, czym sam siebie uczyni; nic mu jego powodzenia nie gwarantuje. Jest sam. Położenie jego jest beznadziejne, tragiczne. Nie może nawet uciec do pesymizmu, gdyż pesymizm jest już skostnieniem myślowym, ustalającym jakiś świat gotowy, a więc w gruncie rzeczy wyzwoleniem od czynu, optymizmem. „Głębokie życie — mówi Brzozowski — ukrywające się pod powłoką świadomości narodowej, czuje tylko swój wysiłek, nie zaś nieustanne zwycięstwo".

W ten sposób jednak uczynił Brzozowski z pracy—nienasyconego Molocha, którego człowiek obsługuje, a którego jedynym celem jest potęgowanie siebie samego i rodzenie nowej pracy. Treścią swobody ma być praca, ale co ma być treścią pracy? Brzozowski uchyla się zupełnie od określenia programów, i na pozór miałby do tego prawo, gdyż nie jest rzeczą filozofów wdawać się w konkretne programy. Atoli w tym wypadku właśnie wyjątkowo pytanie o cel, o treść pracy musi się stać punktem wyjścia dla krytyki filozofji Brzozowskiego. Albowiem dopiero praca konkretna, mająca jakiś określony cel, nie praca dla pracy, jest pracą istotną. Skoro jednak przyjmiemy, że cel i treść pracy jest czymś jakościowo odmiennym od niej samej, to musimy wprowadzić także i uznać jeszcze inne wartości, a więc np. szczęście, piękno, dobrobyt, jako coś, co się kończy i co ma swoją odrębną rację bytu w obrębie mikrokosmosu jednostki — musimy uznać świat Elojów z „Podróży w czasie" Wellsa już choćby dlatego, żeby Morloki mieli czym się zająć. Wogóle, gdy powstaje pytanie, jaką treść ma mieć praca, to albo musi się samo pojęcie pracy wypaczyć i zamącić, albo też wartości i „postawy ducha", rzekomo zwalczone przez Brzozowskiego, odzyskują na nowo rację bytu. Wykroczyłoby poza ramy tej krótkiej charakterystyki, gdybym pokazywał, jakimi łamańcami filozoficznymi usiłuje Brzozowski zakryć tę lukę. W związku z tym stoi również i ta kwestja, dlaczego właśnie pracownik mięśniowy ma być prototypem pracownika? To jest naprzód pod względem fizjologicznym niejasne, gdyż miejscem napięcia wysiłku są zawsze tylko nerwy, a powtóre, dlaczego praca mózgowa miałaby mieć mniejszą godność? Chyba tylko dlatego, że rezultat pracy mięśniowej jest bardziej naocznym.

Wogóle rzucając na całe życie umysłowe teror pracy, ogranicza je Brzozowski na dość wązki skrawek: stwierdzania czynów już dokonanych i nieszczęsnego petryfikowania doświadczeń pracy. Tymczasem takie petryfikacje są potrzebne, właśnie, aby na nich oprzeć plan dalszego działania i dalszych eksperymentów. Dlatego tak znienawidzone przez Brzozowskiego filozofje bytu gotowego, a więc np. system Schopenhauera lub Avenariusa mają daleko głębsze uzasadnienie, niż Brzozowski przypuszcza; co więcej, zawierają one w sobie stanowisko Brzozowskiego jako przesłankę, która się sama przez się rozumie.

Brzozowski, jako uczeń Bergsona i Sorela, jest zajadłym oskarżycielem myśli; jego „Legenda" jest fenomenologją dzisiejszej kultury, w której rzuca podejrzenie na każdy niemal ruch intellektu. Posługując się aż do przesady formułką Marksa, że myśl odbija w sobie zmiany ekonomiczne, uwalnia się zawsze od walczenia z niewygodnymi sobie poglądami na gruncie merytorycznym, i załatwia się z nimi powierzchownie: jesteście tylko formą, kształtem, wykładnikiem, odzwierciedleniem czegoś poza wami, nieuświadomionym złudzeniem. Wogóle sprawom ducha nie rad przyznaje Brzozowski odrębną autonomję. Musi wprawdzie mówić o „chaosie poza nami i w nas", ale pomija to, że ów „chaos w nas" jest punktem wyjścia zupełnie nowych komplikacji. Tak samo jest u niego np. ze sztuką. W pierwszym swoim okresie przyznał jej Brzozowski znaczenie antycypacji kulturalnych, w drugim zaś ograniczył ją do roli uświadamiacza pewnych zadań i procesów już istniejących, zażądał, by się koniecznie skoordynowała a nie błąkała się w pró-

żni. Są wprawdzie w dziełach Brzozowskiego także enuncjacje odmienne od tych, które tu poddałem krytyce, ale pozostały one formalnym postulatem, jak np. wyswobodzenie pracy, albo też są niekonsekwencją — jak to wszystko będę miał sposobność wykazać szczegółowo w obszerniejszej rozprawie.

Ze spraw ducha natomiast zajmowała najwięcej Brzozowskiego tajemnica heroicznej woli i iracjonalnego wysiłku. Powiedział wprawdzie, że żadna formułka nie zrodzi woli, mimo tego starał się nieustannie uzmysłowić „to nagłe bezwzględnie swobodne, nie wyrozumowane ciśnięcie się naprzód całą istotą w próżnię: zawiśnięcie w sferze samowoli i dźwignięcie z niej ku sobie świata".

W pogoni za określeniem tego, porzucił Brzozowski, lub zagmatwał wszystkie zagadnienia konkretne. Doszedł do tego, że w jego filozofji może szukać usprawiedliwienia i oparcia polityka wszelkich odcieni, estetyka wszelkich szkół, etyka wszelkiego autoramentu. Jego zasady pracy pasują do wszystkiego albo do niczego. Dążąc do głębi wszelkiego ruchu, znalazł się niespodzianie i mimowoli w środku koła, w którym jest zupełnie nieruchomo i wygodnie. Naokoło niego natomiast wirowało wszystko na różnych obwodach, a on wyobrażał sobie, że natrafił na oś świata.

Nie spodziewałem się pisać nekrologu Brzozowskiego; gotowałem się do ostrego wystąpienia przeciw jego poglądom. Teraz, skoro umarł, przesuwają się perspektywy. Nie oblega się warowni, z której uleciał duch obrończy. Póki żył, mógł coś zmienić w swych poglądach, cofnąć, wyjaśnić — teraz dzieło jego wznosi się przed nami, jako całość skończona, wzbudzająca podziw. Nie wiem, czy zajmą się nim „fachowi" filozofowie i co o nim powiedzą. Zasługi jego w krytyce literackiej nie ulegają natomiast wątpliwości. Podał nowe kryterja, rozrzucił mnóstwo świetnych specjalnych uwag. Uczynił, że po jego dziełach pewne szkoły i poglądy literackie są raz na zawsze uniemożliwione. W poezji dał „Płomienie", najgłębszą powieść rewolucyjną. Jego talent poetycki był wielki i godny osobnego studjum.

Tyle o dziełach, a działalność?

Niech na grobie Brzozowskiego nie pada żaden frazes o jego zasługach dla narodu. Nie można narodowi narzucać, kogo ma czcić i komu ma być wdzięczny. Nie można i nie trzeba przekonywać ludzi, którzy oddają się jeszcze błogiemu złudzeniu, że Brzozowski był przecież szpiegiem, więc nie obowiązuje ich nic z tych niewątpliwych praw, które postawił. Nie będzie komitetów dla sprowadzenia jego zwłok do ojczyzny. Tym lepiej, tym lepiej! Mamy już przepełniony Panteon. *Jego* pracy posiew niech rośnie w milczeniu.

Karol Irzykowski.

Związek Stowarzyszeń Spożywczych.

Projekt ustawy Związku kooperatyw spożywczych i hurtowni został ostatecznie zatwierdzony — bez zmian — przez ministerjum spraw wewnętrznych. Rozpatrzmy ten niezmiernie doniosły dla naszego ruchu kooperatywnego dokument, niedawno ogłoszony w dodatku miesięcznym do pisma *Społem*.

Obydwie funkcje wszelkiej centralnej instytucji kooperatywnej, a mianowicie funkcja instruktorsko-teoretyczna i funkcja handlowa są w nowej organizacji ściśle związane. Ustawa naszego Związku jest wzorowana w tej mierze na szwajcarskiej, gdzie również obie te funkcje są ze sobą zespolone. Artykuł pierwszy ustawy głosi: „Celem Związku jest przeprowadzenie zasady uczciwości i porządku w wymianie i produkcji artykułów spożywczych, a to przez a) jednoczenie stowarzyszeń spożywczych i udoskonalanie ich działalności b) dostarczanie stowarzyszeniom spożywczym towarów, wchodzących w zakres ich operacji, po cenach hurtowych, oraz różnych udogodnień, opartych na wspólnej ich działalności". Aczkolwiek sam cel (zasada uczciwości i porządku) jest dość luźnie nakreślony, lecz wskazane środki osiągnięcia celu nadają mu wyraźne kształty: jednoczenie i udoskonalanie działalności stowarzyszeń wskazuje na funkcję instruktorsko-teoretyczną, dostarczanie towarów po cenach hurtowych — na funkcję handlową. Artykuł drugi daje jeszcze dokładniejszy obraz przyszłej działalności. Jako organizacja instruktorsko-teoretyczna, Związek ma udzielać stowarzyszeniom spożywczym „informacji, rad, instrukcji i pomocy prawnej; urządzać odczyty, kursy, wystawy, konferencje i zjazdy; dokonywać perjodycznych i nadzwyczajnych rewizji stowarzyszeń związkowych; zbierać i ogłaszać dane statystyczne i wydawać pismo". Jako organizacja handlowa, Związek będzie „organizować wspólne zakupy stowarzyszeń spożywczych, kupować na własny rachunek, brać w komis i sprzedawać wszelkiego rodzaju towary, w razie potrzeby i osobom postronnym; urządzać własne składy, filje i zakłady dla wytwarzania, przechowywania, kupna i sprzedaży towarów; najmować, dzierżawić i *nabywać na własność* wszelkie *nieruchomości*, potrzebne dla celów Związku; organizować wzajemne ubezpieczenie od ognia; zaciągać pożyczki, brać udział w innych przedsiębiorstwach i wogóle zawierać wszelkiego rodzaju zobowiązania i umowy". Wreszcie — jako pracodawca, Związek ma prawo „utrzymywać biuro pośrednictwa pracy pracowników, potrzebnych stowarzyszeniom spożywczym i tworzyć specjalny fundusz dla zabezpieczenia ich bytu". Gdyby u nas istniały przyzwoite związki zawodowe, pośrednictwo pracy powinno być im powierzone; — lecz, ponieważ ich niema, artykuł ten jest na miejscu.

Siedzibą Dyrekcji Związku — jest Warszawa, terenem działania — Królestwo Polskie, nazwą urzędową: „Warszawski Związek Stowarzyszeń Spożywczych".

Członkami Związku mogą być (art. 8) wszystkie stowarzyszenia spożywcze, działające w granicach gubernji Królestwa Polskiego. Pojedyncze osoby nie mogą być członkami Związku. Stowarzyszenia mają obowiązek zaspakajania swoich potrzeb za pośrednictwem Związku, natomiast wykonywują zwierzchnią władzę Związku przez swoich delegatów.

Fundusze Związku, jako organizacji handlowej, powstają z udziałów stowarzyszeń związkowych. „Każde stowarzyszenie związkowe (art. 19) obowiązane jest wziąć udział w stosunku pięciu rubli od każdego swego członka, z czego powinno być wpłacone przynajmniej po rublu od członka. Do czasu całkowitego pokrycia udziału, stowarzyszenie nie otrzymuje w gotówce ani procentu od udziału, ani dywidendy od zakupów: jedno i drugie obraca się na dopełnienie jego udziału do ustanowionej normy".

Kapitał zapasowy Związku (§ 23) tworzy się a) z 45% od czystego zysku, na ten cel potrącanych b) z własnych narastających procentów c) z wpływów przypadkowych. Skoro kapitał zapasowy dojdzie do wysokości połowy funduszów Związku, może być przerwane dalsze zasilanie go z czystego zysku i oprocentowanie.

Fundusze Związku służą do „handlowych i *przemysłowych* operacji". Kapitał zapasowy (§ 24) do „pokrywania strat, mogących wyniknąć z operacji Związku i do powiększania środków obrotowych Związku".

Jak widzimy, wszystkie te przejawy są bardzo energiczne i dążą do postawienia hurtowni w krótkim

czasie na mocnych nogach. Zdaje się, że próba ta zostanie uwieńczona pomyślnym rezultatem, gdyż już od roku z górą przeszło sto stowarzyszeń prowiduje się za pośrednictwem Biura Informacyjnego, które jest tymczasową hurtownią i które od marca 1910-go r. do marca 1911 r. sprzedało towarów za przeszło pół miljona rubli. Stowarzyszenia więc nabyły już niezbędnej wprawy.

Jako organizacja instruktorsko - teoretyczna, Związek będzie zasilany roczną składką, która tymczasowo wynosi jednego rubla od każdego tysiąca obrotu stowarzyszenia, jednakże nie może wynosić mniej, niż 15 rb. i więcej, niż 300 rb. na jedno stowarzyszenie. Zarząd Związku jest obowiązany przynajmniej raz na dwa lata gruntownie zrewidować każde stowarzyszenie.

Organy Związku są trzy: Zebranie Pełnomocników, Rada Nadzorcza i Dyrekcja.

Zebranie Pełnomocników jest władzą prawodawczą Związku, jest jego parlamentem. Organy wykonawcze są odpowiedzialne przed Zebraniem i przezeń wybieralne. Dla uczestniczenia w Zebraniu każde stowarzyszenie związkowe ma prawo wyznaczyć dwóch pełnomocników i ponadto jeszcze: jednego pełnomocnika, jeżeli suma jego zakupów w ciągu roku przez Związek wynosi więcej, niż 5,000 rb., 2-ch ponadto, — jeżeli więcej, niż 25,000 rb.; trzech ponadto, — jeżeli więcej, niż 50,000; ogółem nie więcej, niż 5 pełnomocników.

Ten ciekawy cenzus, nieściśle ustosunkowy ani do ilości członków, ani do wysokości zakupów — redaktorzy ustawy tłómaczą naszymi specjalnymi warunkami. Przebija z niego forytowanie małych stowarzyszeń, zachęta do tworzenia średnich, obawa przed zbyt wielkimi. Trzeba wierzyć doświadczeniu redaktorów ustawy. Czas pokaże, co z tego wyniknie.

Zebranie Pełnomocników zwołuje Dyrekcja, z zachowaniem pewnych formalności. Każde Zebranie, bez względu na ilość obecnych, jest prawomocne (system angielski).

Rada Nadzorcza jest organem wykonawczym w szerokim znaczeniu tego wyrazu i organem kontrolującym. Rada składa się z 12-tu członków i 3 zastępców, wybranych na Zebraniu Pełnomocników tajnym głosowaniem i zwykłą większością głosów. Rada powinna się zbierać przynajmniej raz na kwartał i po każdym zebraniu pełnomocników.

Dyrekcja jest organem wykonawczym Związku, w ścisłym tego słowa znaczeniu. Ilość członków dyrekcji zostanie określona przez Zebranie Pełnomocników; zostaną oni wybrani — przez tajne głosowanie i prostą większością głosów — przez Zebranie Pełnomocników. Może być tylko jeden dyrektor.

Taka jest w ogólnych zarysach ustawa nowego Związku. Ponieważ ustawa ta już jest ulegalizowana więc na 10-ty Czerwca zwołuje się do Warszawy pierwsze Zebranie Pełnomocników, których stowarzyszenia wybiorą zgodnie z zasadami artykułu 29-go. Jednak tylko te stowarzyszenia będą mogły mieć pełnomocników, które uprzednio wniosą po 25 kop. od członka. Termin wpłacenia pozostałych 75 kop. oznaczy samo Zebranie. Zbyteczna dodawać, że w ustawie żadnych ograniczeń, wynikających z religji, pochodzenia lub przekonań politycznych niema. Językiem Związku jest najoczywiściej polski.

Zarząd Biura Informacyjnego, które dotąd spełnia prowizorycznie funkcje przyszłej Dyrekcji Związku, przedstawi Zebraniu Pełnomocników projekt otwarcia hurtowni warszawskiej (lub też — co na jedno wychodzi — rozpoczęcia hurtownych operacji handlowych Związku) jeszcze w jesieni roku bieżącego.

Warszawa więc w r. 1911-ym zyska instytucję społeczną pierwszorzędnej wagi i wprowadzi Polskę— pod względem kooperatywnym — na widownię międzynarodową. Oto lista istniejących hurtowni wraz z datą założenia i cyfrą sprzedaży (we frankach) z ostatniego roku:

Manchester	1864 r.	664 miljony fr.
Glasgow	1868	194 "
Hamburg	1894	111 "
Kopenhaga	1888	65 "
Bazyleja	1892	27½ "
Wiedeń	1904	21 "
Peszt	1898	20 "
Helsingfors	1954	14 "
Paryż (soc.)	1906	7½ "
Rotterdam	1889	6 "
Stokholm	1904	6 "
Moskwa	1892	5 "
Antwerpja	1900	5 "
Paryż (bezp.)	1901	1 "
Christianja	1906	1 "
Praga	1909	1 "

Któż nie rozumie, jak dotkliwie brak na tej liście Warszawy?

Jerzy Kurnatowski.

Przestępczość dzieci, a szkoła świecka we Francji.

(Dokończenie).

Badał on w sądzie poprawczym, w trybunale i w sądzie kryminalnym w Bordeaux akty dotyczące spraw 102 młodych ludzi w wieku najwyżej lat osiemnastu, którzy od grudnia 1908 do stycznia 1910 byli oddawani pod sąd. Od kilku lat sędziowie są obowiązani zbierać o małoletnich jaknajdokładniejsze dane co do warunków ich wychowania, rodziny, a często i szkoły, do której uczęszczali. Wiadomości te sprawę bardzo ułatwiły. Co do sześćdziesięciu oskarżonych archiwa szkolne dostarczyły pewnych dokumentów.

Kto są ci młodzi przestępcy? Przeważnie chłopcy; na sto dwie sprawy tylko dziesięć dotyczy dziewcząt. Poza jednym sześcioletnim biedactwem, jednym dziewięcioletnim i jednym dziesięcioletnim — wszyscy przekroczyli pierwszy krzyżyk, a większość ma od piętnastu do osiemnastu lat.

Jakie sprawy sprowadzają je przed sąd? Przeważnie kradzież: w osiemdziesięciu sześciu wypadkach na sto dwa idzie o przywłaszczenie cudzego mienia.

Czy rzeczywiście szkoła świecka ma uznać tych nieletnich za swoich wychowańców? Czy ich zbrodniczość jest proporcjonalną do ich pracy w szkole?

Jeżeli się odrzuci jedno dziecko zmarłe, aby mogła być mowa o jego nauczaniu, siedmioro, co do których niema żadnych dokumentów, na 94 pozostałych znajduje się 14 analfabetów, 31 z trudem czyta i pisze, 28 umie czytać i pisać, 14 przeszło początkowe nauczanie, mniej więcej normalnie, a tylko siedmioro otrzymało świadectwo szkolne.

Wogóle wśród młodzieży przestępczej jest od 2 — 3 razy więcej analfabetów, niż wśród uczciwej, co dowodzi raz jeden więcej, że zbrodnia czyni najwięcej spustoszenia pomiędzy ludźmi ciemnymi. Dzieci które nie otrzymały wychowania szkolnego, są bardziej od innych narażone na pokusy zbrodni.

Zatym na grono owych 102 nieletnich przestępców szkoła niewielki wpływ mieć mogła, jeżeli tylko siedmiu ją ukończyło, a inni, albo wcale do niej nie uczęszczali, albo opuszczali tak dużo lekcji, że raczej tylko dla formy byli zapisani. Z powyższego obliczenia wynika, że owi przestępcy należeli do uczniów najgorszych, najbardziej opieszałych, szkoła nie może brać odpowiedzialności za ich czyny, gdyż o ile tylko mogli, usuwali się z pod jej wpływu.

Często też zarzucają szkole, nie to, że wychowuje na zbrodniarzy, ale że nie przeszkadza rozwojowi złych skłonności swych uczniów. Przypisują to temu, że szkoła jest świecką; jedynie wychowanie religijne strzeże podług nich od zbrodni. A przecież nikt im nie zabrania uczyć się religji. Przytem część przestępców była zapisana w szkołach wyznaniowych, więc i one nie zabezpieczają od pokus i złych wpływów. Nie można na podstawie tego wnioskować, że szkoła wyznaniowa jest narzędziem zepsucia ale, jeżeli już mowa o zepsuciu, niechże i ona część winy na siebie weźmie. Na 102 sprawy, którymi się zajmujemy, 60 dzieci odebrało wychowanie religijne i odbyło pierwszą komunję; nie przystąpiło do komunji, pomimo, że podług wieku przystąpić już mogli, 11; sześcioro było zamłodych do tego aktu, a co do reszty niema żadnych danych. Okazuje się więc, że wychowanie religijne nie uodpornia przeciw przestępczości lepiej, niż szkoła świecka, więc jakże można twierdzić, że szkoła ta przez swą neutralność pośrednio tworzy zbrodniarzy?

Nie twierdzimy bynajmniej, żeby nędza i rozkład rodziny wytłumaczyły wszystkie przestępstwa, o których mówimy, sądzimy jednak, że w wielu wypadkach tłumaczenie to byłoby słusznem, zwłaszcza, jeżeli zwrócimy uwagę na bardzo rozpowszechniony alkoholizm, obciążający dziedzicznie młode pokolenia. Nie trzeba zapominać jak ważną rolę w życiu gra dziedziczność, w niej nierzadko znaleźć można genezę zbrodni.

Dlaczego więc uważać szkołę i mianowicie szkołę świecką—za gniazdo wszelkich przestępstw i wszystkich zbrodniarzy? Wielu przyjmuje ona wychowańców niejako gotowych do zbrodni przy pierwszej zdarzonej sposobności. Na razie chroni ich może do pewnego stopnia od przestępstw, lecz jeżeli po wyjściu ze szkoły niema dziecko wcale domowego ogniska, lub ma ognisko częściowo rozbite, nie ulega wątpliwości, że przyzwyczai się z wielką łatwością do życia na ulicy i z ulicy. Szkoła nie może temu zaradzić. Moraliści żądają wprowadzenia do szkoły katechizmu!... Widzieliśmy na przytoczonych przykładach, że to nie na wiele się zdało. Inni chcą przedłużenia czasu nauki szkolnej. Niestety, dla dzieci, które od najmłodszego wieku z powodu nędzy pracować muszą, najtańsza, a nawet bezpłatna szkoła staje się zbyt drogą, dopóki rodzinie zapewnić nie można pewnego wynagrodzenia za małe zyski jakie dzieci zdobyć by mogły.

Zapewne, szkoła nie powinna wyrzec się swych ambicji, powinna się starać o ulepszenie swych metod w celu udoskonalenia nawet wychowańców dziedzicznie obciążonych, ale nie można od niej wymagać przerabiania na świętych wszystkich dzieci chorych, lub rozpustnych, które jej powierzają rodziny, będące same w rozkładzie.

Jeżeli więc, jak słusznie mówi Lapie, główne przyczyny przestępczości młodzieży leżą w złym stanie rodziny — ku rodzinie trzeba by raczej zwrócić wszelkie reformatorskie prace i wysiłki; należałoby zwalczać rozwiązłość obyczajów, a zwłaszcza alkoholizm, należałoby stworzyć takie warunki ekonomiczne, w jakich by dzieci nietylko otrzymywały pewne minimum wychowania umysłowego, moralnego i zawodowego, lecz odnosiły z tego wychowania pewne korzyści realne; należałoby przedewszystkim ułatwiać skupianie się rodziny, lub wreszcie zastąpić nową jaką instytucją rodziny rozłączone, albo nieistniejące. Zapewne byłoby niebezpiecznym powierzać państwu wychowanie dzieci, których rodzice byliby rozłączeni, czy to przez śmierć, czy przez rozwód, lub niezgodę, lecz trudno nie zastanawiać się nad tym, czy nie byłyby właściwszym dać im możność przebywania aż do pełnoletności w domach bardziej rodzinnych, niż ich „pół rodziny", i które by je bardziej strzegły od pokus i złych przykładów.

Najmniej niepewnym środkiem na przestępczość młodzieży byłaby ojcowska opieka nad wszystkimi dziećmi bezdomnymi, a nie wojna wytoczona szkole świeckiej.

H. Grotowska.

KRYTYKA.

Na marginesie „Oziminy" Berenta.

(Dokończenie).

Że ten okres — pomimo dobrych chęci i nawet niejakiej w patosie surowości — nie wpływa na zahartowanie — to rzecz pewna. Nadmiar typów poszkodowanych, zwyciężonych i stratowanych, które nie mogą inaczej mówić o rzeczach tego świata, jak z pewną jawną lub ukrytą pokorą, sprawia, że ich filozofja destyluje się zwolna i zostaje w duszach jak rodzaj trwałego osadu, nurtującego i nużącego. Sam język traci prężność, metaliczność, staje się wiotki.

* * *

Literatura innego typu, mniej patetyczna, gdzie niejeden frazes lśniący dziś trzeba będzie schować do futerału, istnieje w Polsce w dozie jeszcze bardzo nieznacznej. Istnieje za to stała i wzmagająca się potrzeba literatury mniej patetycznej, czyli wyrazu ducha mniej rozdartego. Zapowiedzią owej literatury są właśnie dzieła, które krytyka wita z pewnym przerażeniem, jako zawierające zbyt mało ideologji, zbyt szyderskie, zuchwałe, cyniczne, brutalne, rażące dotyk, zamiłowany w miękkości puchów idealnych. (Rzecz prosta, że nie dotyka się tu kwestji wartości estetycznej tych dzieł!)

* * *

Twierdzenie ogólne: zarówno człowiek u nas, jak pisarz jest naturą kruchszą, bardziej liryczną, niż na Zachodzie. Tam dźwigaczem wyższej kultury, która jest zarazem kulturą cięższą do niesienia, stał się typ twardszy. Skazani jesteśmy na coraz większe tracenie liryzmu, a na koncentrację woli, abyśmy mogli dźwigać wzmagający się ciężar kultury, która może nie jest szczęściem, lecz nie mamy wyboru. Szorstkość ruchów młodych pisarzy i ich ubóstwo ideologiczne, nie powinno napawać trwogą serc dobrych, gdyż oni są konieczni: w nich skupia się, zapewne, energja ku przyszłym — tak niemiłym dla konserwatyzmu — metamorfozom!

* * *

Weźmy pisarza zachodnio-europejskiego, który nie odznacza się wcale wyjątkową energją — Banga i jego „Pokolenie Beznadziejne". Bohater tej książki Wiljam Hög jest obciążony dziedzicznie. Mimo to całe życie jego jest nieustannym wysiłkiem przemożenia siebie, walką z tym, co w nim jest bezwładem. Patrzy w siebie wzrokiem nieustraszonym, walczy, nie oskarżając nikogo, samotny, męzki, wreszcie odchodzi w porze najwłaściwszej, gdy sił już mu nie stało — odchodzi dumnie: ten człowiek, mimo tylu nieszczęść, nie nauczył się pokory.

U nas by, rzecz prosta, nie obeszło się bez „przebóstwienia" tego, co Wiljan Hög uznaje do końca, jako ohydne i wrogie. U nas by się Wiljam zżył ze swą męką, może kochał się w niej z tajemną lubieżnością — tak właściwą pragnącej kontrastów uczuciowych naturze lirycznej.

Albo Hamsun w „Głodzie". Ileżby w tym w dziele, gdyby u nas powstało, było roztkliwienia i wytrząsania pięściami w stronę społeczeństwa! Bądź co bądź, z pewnością podkreślanoby starannie, z precyzją artystyczną, jak ten człowiek *bardzo* cierpiał. Tymczasem — pisarz tęższy—Hamsun wcale nie podkreśla cierpień wygłodzonego, lecz raczej ogólny obraz jego stanu psychicznego, jako nieznaną dotąd postać przeżywania. I tu jak w książce Banga bohater nie mruży oczu, patrzy w siebie i nie zdumiewa się, że go tak srogie spotykają przygody. Wie on raz nazawsze, że świat, w którym żyje, jest surowym światem. Jak tam nic nie mówi: „chcę się oprzeć na kimś"... Jak wszystko stoi samo i mocno i głosi: nie znam obawy! W tym chorym z głodu człowieku ileż jest zdrowia, trawienia, zaboru, nieposkromionej żądzy życia i scierania się! Nawet na głód swój rzuca się, jakby z ochoczą radością, aby przeżyć życie jak najróżnorodniej, w nieskonczonych postaciach, przygodach, podróżach pod rozmaitymi gwiazdami. Jest to wieczysty wędrowiec i zdobywca! Łoskot jego kroków rozlega się, jak odgłos młota wyzwalającego. Stoi on mocno! Tu niema owego *rozmiękczenia gruntu*, które w sztuce polskiej towarzyszy stale różnym postaciom nieszczęścia.

* * *

Z literatury europejskiej wyziera inny człowiek: jest on starszy. Nie jedno pochował złudzenie, niejedno przezwyciężył, przyzwyczaił się do surowszego klimatu życia, skupił się, mocniej trzyma się ziemi. Co na Zachodzie wydobyto z mroku, otrząśnięto z prochu, niejeden powab, co tam lśni, u nas jeszcze drzemie w pokładach duszy, zapomniany lub zaniedbany. Nie zapomniano o jednym: o sercu. Na kulturze serca oparto całą przyszłość. Serce musi być tak wielkie, szlachetne, by wszystko zniosło i nie znikczemniało. Lecz jak dojść do tej wielkości? Przez odpowiednie karmienie. Literatura w osobach najcelniejszych pisarzy u nas dba przedewszystkim o tuczenie serca. Serce pocieszyć, wzruszyć, zatroskać, przerazić, zawstydzić, wstrząsnąć, rozedrzeć — oto wszystko! Serce jest jedynym organem odżywianym normalnie, nawet nad normę, za to inne organy są stale zaniedbywane. Ciekawość mózgu, sprawność ręki, bystrość oka, czujność ucha, które słyszy coś więcej, niż szum najbliższej katarakty — wszystko to leży odłogiem, ugoruje. Chciano z serca uczynić organ wielki i szlachetny, chciano je zmuszać do wstydu, do ucieczki przed sobą, do wydarcia się sobie i odrodzenia, a zrobiono je dużym i żarłocznym. Doprowadzono je do prawdziwej chuci głodu. Pożera ono teraz wszystko zarówno pokarmy słodkie i przesłodzone, jak kwaśnogorzkie w rodzaju „Oziminy". „Hm, hm — rzecze, oblizując wargi i kręcąc główką — cóż to za nowa potrawa? Ależ to przysmak niemal egzotyczny! Spożyjmy! Mnie już nic nie zaszkodzi! Na to jestem za duże!"

Jeden z gorących zwolenników Berenta mógłby tu rzec:

— Ale cóż to wszystko może obchodzić śmiałego i rzetelnego artystę, który dał przerażający obraz zastoju duszy narodowej—tak właśnie, jak to widział".

Na to odpowiadam:

— Tak, ale i on także bez wątpienia *tuczy* serce, i on utrwala jednostronność kultury, i on *sprzyja* zastojowi.

Leon Choromański.

Teatr Artystyczny.

W gmachu Filharmonji, w sali oczyszczonej od p. Zalewskiego, dotychczasowego kierownika jedynej w Warszawie sceny prywatnej, rozpoczął działalność teatr nowy, zwany „Artystycznym". Na czele przedsięwzięcia stanęli pp. Leśmian, Orliński i Wroczyński, ujmując ster rządu w młode ręce. Zespół artystyczny po części przejęli w spuściźnie po „Teatrze Małym", po części zaś uzupełnili nowymi siłami. W całość, tak zreformowaną tchnęli nowego ducha, ożywiając ją energją aspiracji artystycznych, które, dla p. Zalewskiego, były rekwizytem zbytecznym.

Czas, istotnie, był już najwyższy, aby tej zbawczej przemiany dokonać. Opinja Warszawy pod względem teatralnym, szczególnie poza granicami Królestwa, stała się fatalna. Wszelako opinja ta krzywdzi nas niesłusznie. Kwietniowy zeszyt *Museionu* czyni uwagę, że „miasto, w którym się finansowo utrzymywać mógł teatr tak drogi, tak zły, tak niewygodny i tak nudny, jak teatr „Mały" — jest miastem nie tyle głupim i zdeprawowanym przez swą prasę, ile genialnie barbarzyńskim".

Piszemy się na to zdanie rehabilitacyjne w zupełności. Może tylko zastrzec należałoby, że niesłusznie wyłączono w nim z udziału w znieprawianiu smaku społeczeństwa — prasę Warszawską. Naturalnie, wpływ jej daleko nie sięga. Nawet poczytność *Kurjera Warszawskiego* ma bowiem swe granice. Nie wszystko zdziałać może. To jednak, co może czynić szacowny ów organ, to czyni, i czyni to starannie. (Porówn. w *Echach*: „Czyja wina") Gdy ma do wyboru: tragedję Słowackiego lub farsę w *Letnim*, chwali Słowackiego — i radzi pójść na farsę.

Na pierwsze przedstawienie, niejako reprezentacyjne dla nowego okresu, wybrano komedję groteskową Ch. D. Grabbego: „Żart, satyra, ironja i głębsze znaczenie", — w przepysznym przekładzie Wacława Berenta.

Dyrekcja i reżyserja świeżego zespołu ważyła się na rzecz niebezpieczną, wystawiając na pierwszy ogień sztukę tego właśnie rodzaju. Pragnęła wszakże odrazu dać próbę swego wysiłku. Ostrą i śmiałą inicjatywą postanowiła przerżnąć się poprzez najgłębsze bagno rutyny, jednym rzutem ramion odwalić kamień bezwładu, przygniatający wyobraźnię i pomysłowość artystów.

I zamiar ten, przyznajmy otwarcie, udał się jej w zupełności. Tępe widmo jednostajności i szarzyzny, które tak uparcie wyłupiało oczy ku widzom za sceny p. Zalewskiego, uległo rozproszeniu. Wraz z nową sztuką wstąpiliśmy w atmosferę samorzutnej twórczości.

Rzecz dziwna: tyle nam krakano o niescenicznej budowie komedji, o fantastycznym jej rozbiciu na atomy drobniutkich epizodów!... a tym czasem wystarcza popatrzeć na scenę, aby przekonać się, jak te atomy, ujęte siłą wewnętrznej atrakcji, zrastają się w łączny jednolity organizm.

Akcja ustawicznie rzekomo rozbiegająca się na wszystkie strony i zawierająca mnósto monologów, dygresji, uwag luźnych i wezwań do publiczności, posiadła jeden niezaprzeczony element spójności i harmonji. Tym elementów była myśl twórcza autora stopiona w jedno z myślą odwórczą reżyserji i artystów. Po przez wszystkie sceny przebiegał świadomy, tętniący nerw zbiorowej, uplanowanej pracy. W każdym szczególe przełamywała się wizja całości, nadając słowom i ruchom oddzielnym tę żywą wypukłość, jakiej rzecz każda nabiera przez umieszczenie jej na właściwym podkładzie.

Dzięki zaletom oprawy scenicznej, publiczność przełknęła gorycz zawartego w sztuce „intelektuali-

zmu" gładko i ze śmiechem. Jedynie krytycy przysięgli, zawodowcy kunsztu banalności, ksztusili się miejscami, przez nieostrożność zapewne, biorąc do siebie aluzje o skrzeczących żabach pospolitości.

Ogół jednak witał premjerę życzliwie, niekiedy radośnie, jako zapowiedź pracy, dźwigającej się ku szczytnym zagadnieniom myśli, ku wysokim zadaniom sztuki. Rozumie on, że ta skromna, mała scenka, na której p. Zalewski bezskutecznie usiłował stworzyć kabaret, przeznaczona jest przez samą zwięzłość swej minjaturowej budowy, ku temu, aby stać się „głazem bodzącym morze powszedniości". Jest ona tak mała, że znaczenie i wielkość dać jej może tylko myśl twórcza, która rodzi się w sekundzie i, rodząc się, jak piorun uderza wprost z kolebki. Powinna tedy stać się miejscem, gdzie huczy myśl i pali się marzenie.

W. R.

NA DOBIE.

Krwawe brednie.

Nie mamy najmniejszej ochoty wdawać się w ocenę sprawy, wszczętej przez czarne seciny rosyjskie z powodu zagadkowej śmierci Andrzeja Juszczyńskiego w Kijowie. Nietylko oświecona nasza opinja wie doskonale, co myśleć o t. zw. mordzie rytualnym, ale prosty nasz lud zarzucił wiarę w podobne krwawe brednie.

A titre purement documentaire przytaczamy jednak uwagi Anatola Leroy-Beaulieu, który jest kompetentnym w tych rzeczach sędzią i którego głośne dzieło *Israël chez les Nations* drukuje teraz *Izraelita.*

W jednym z ostatnich numerów tego pisma mieści się właśnie ustęp, dotyczący legendy o mordzie rytualnym.

„Zauważono — pisze A. Leroy Beaulieu, — że w Rosji i na Wschodzie rozruchy ludowe antyżydowskie wybuchały przeważnie koło Wielkiejnocy.

I dziś jeszcze, podobnie jak to miało miejsce za pochodów krzyżowych, ta łączność wypływa nie tyle z chęci ciemnych tłumów pomszczenia Ukrzyżowanego, ile z krwawych baśni, jakie krążą w gminie na temat żydowskiej Wielkiejnocy. Chcemy tu wspomnieć o bezmyślnym oskarżeniu, które, powtarzane od wieków, stało się przyczyną śmierci ogromnej liczby żydów, mimo, że nigdy, żadnemu z nich nie udowodniono najmniejszej winy.

W Rosji, Polsce, Rumunji, Czechach, na Węgrzech lud ciemny wyobraża sobie, że żydzi potrzebują krwi chrześcijańskiej do wyrobu ciasta wielkanocnego, czy *macy.* Po wsiach, a nawet po miastach wschodniej Europy, gdzie tak często pod zwierzchnią cienką warstwą cywilizacji nowoczesnej kryją się pojęcia i wierzenia wieków średnich, chłop i rzemieślnik nie wątpi wcale, że izraelici muszą koniecznie na swoją Wielkanoc utoczyć krwi z żył chrześcijańskich.

Za każdym razem, kiedy zginie dziecko chrześcijańskie, kiedy w rzece lub kanałach miejskich policja znajduje trup dziecięcy — głos ludu wskazuje niechybnie na żydowskich rzezaków, choćby nawet ciało nie nosiło żadnych obrażeń. Było to tak powszechnie przyjęte, że nieraz mordercy zawlekali ofiary swe gdzieś w kręte uliczki dzielnic żydowskich, wiedząc, że tym sposobem odwrócą od siebie podejrzenia i gniew pospólstwa.

Owa legenda *mordów rytualnych* nie jest bardzo dawna; pochodzi bowiem z roku 1100. Całe średniowiecze, począwszy od XII i XIII wieku, wierzyło święcie w tę baśń ohydną. Nic trwalszego, jak podobne brednie. To też bynajmniej nie był osobliwością ów proces, który w r. 1883 otoczył chwilową sławą węgierską mieścinę Tisza-Eszlar. Oskarżenie, zwrócone przeciw żydom w Tisza-Eszlar, wielekroć razy spadało na żydów syryjskich, egipskich, rumuńskich, rosyjskich, i to w ciągu ostatnich lat pięćdziesięciu. W roku 1880 wypadek ten zaszedł w Kutaisie, na Kaukazie; w roku 1881 — w Aleksandrji, w Egipcie; w r. 1890 — w Damaszku, wsławionym już w r. 1840 sprawą tego rodzaju; w r. 1890 na Korfu, tudzież — rzecz niespodziewana — w Ksanten, w Niemczech.

Nowoczesne cesarstwo niemieckie okryło się w r. 1892 hańbą rozgłośnego procesu o mord rytualny, co udowadnia w obliczu Europy, że głupie przesądy lęgną się jeszcze swobodnie w głowach poddanych cesarza Wilhelma II-go.

Mógłbym również wymienić kilka smutnych spraw tego rodzaju w Rosji, mianowicie w Saratowie, za czasów Mikołaja I-go i Aleksandra II-go. W pewnym czasie te sprawy były wciąż na porządku dziennym, przyczym bezzasadność oskarżeń była tak oczywista, że osobnym zarządzeniem kazano pozostawić je bez skutku".

I otóż okazuje się, że rosyjski nacjonalizm zoologiczny, mimo lojalizmu, którym się tak chełpi, zignorował te zarządzenia, byle móc zastosować najpotworniejszy ze wszystkich środek agitacji.

Kursy letnie w Sokołówku.

Dnia 19 kwietnia szkoła rolnicza w Sokołówku żegnała swych uczniów, wyprawiając ich w świat z zasobem wiedzy zawodowej, z rozbudzonym poczuciem społecznych i obywatelskich obowiązków.

Na doniosłość tej uczelni dla naszych stosunków rolniczych, dla kultury i postępu mas ludowych, wskazywaliśmy niejednokrotnie, wzywając ogół do ofiar celem umocnienie jej bytu. Młodzież włościańska kształci się w niej nietylko w umiejętności gospodarczej, w elementach praktyki rolnej, ale zarazem wzrasta w samodzielności, nawyka do krytycznej oceny swego bytu, wdraża się do uczestnictwa w rozwoju cywilizacji.

Lud, zdając sobie sprawę doskonale z użyteczności szkoły, poparł ją nader licznym napływem kandydatów. Ograniczona, niestety szczupła, liczba miejsc nie zdoła już w przyszłym roku odpowiedzieć szeroko odczutej i wciąż rosnącej potrzebie wiedzy umiejętnej w łonie młodzieży. Mnóstwo chłopców, pragnących nauki i wskazania, w jaki sposób, zbogacając siebie, można zbogacić i uszlachetnić kraj, odejdzie od progu szkoły z poczuciem doznanej krzywdy, z niezaspokojonym pragnieniem światła.

Tak to się u nas bowiem dzieje, że kto się chce oddać zbrodni, znieprawieniu, wyzyskiwaniu innych, ten wszystkie drogi przed sobą widzi otwarte. Gdy chce kraść, znajdzie snadnie środki po temu i narzędzia i pobłażające sposobności. Kto łaknie grabieży i rozboju, ten ma możność zorganizowania bandy, która zdobywać będzie pociągi i rzuci teror na miasta. Ale ubogi chłopak wiejski, który łaknie oświaty i chce się uczyć, który czuje swą nędzę, swe upośledzenie i szuka dróg rozwoju, ten wszystkie drzwi ma przed sobą zamknięte.

Śmiech pomyśleć, doprawdy, że szkoła tego typu, co Sokołówek, jest w całym Królestwie tylko jedna; szkoła, będąca poprostu elementarną koniecznością życiową naszego ludu, wystarczać musi na całe Królestwo! Jedno tylko mamy Towarzystwo Naukowe i jedną jedyną w Sokołówku szkołę gospodarczo-rolniczą dla chłopców wiejskich! Uczonych atoli w kraju mamy podobno trzydziestu kilku, gdy tymczasem ludzi oddających się pracy rolnej na chłopskim zagonie — parę miljonów.

Udział czynny w uprawie badań naukowych nie-

zaprzeczenie stanowić będzie o tym, czy pozostaniemy Europejczykami, ale usamodzielnienie ludu, duchowe i gospodarcze, w ostatecznej instancji zdecyduje o tym, czy żyć będzie, czy przetrwa naród polski.

Zrozumiejmy-ż tedy, na miłość narodu i jego przyszłości, że, w chwili obecnej, niema dla nas zadań większych, potrzeb bardziej palących i nagłych, niż dźwiganie ducha śród ludu.

Z roku na rok podwajać i potrajać winniśmy placówki oświatowe, zwłaszcza niższe szkoły rolnicze, bo one to przedewszystkim wyzwalają duszę chłopa z pod teroru przyrody, pozwolą mu nad nią zapanować, wrość głęboko w rolę i osadzić na niej niepożyte węgły bytu narodowego. Dziś jeszcze chłop jest niewolnikiem swego zagona, przykutym do pługa i do obory: chodzi o to, aby stał się jego władcą.

Tymczasem, wszakże, dopóki oświata w kraju tak ubogo jest uposażona, dbajmy przynajmniej o to, aby placówki istniejące najskuteczniejsze usługi oddawać mogły. Ze swej strony poczuwają się one chętnie do obowiązku pracy zdwojonej. Według programu, szkoła w Sokołówku [1]) pod jesień dopiero otworzyć miała drzwi na przybycie nowego zastępu młodzieży.

Atoli Rada szkolna i dyrektor p. Gayer, nie chcąc, by przez lato budynek szkolny stał pustką, postarali się o pozwolenie u władz na organizację 6 cio tygodniowych kursów nauki mleczarstwa i hodowli.

Z kursów owych skorzystać powinnni przedewszystkim tacy, którzy chcą się nauczyć maszynowego wyrobu masła, a potym, ci, którzy się już zajmują wyrobem masła po spółkowych maślarniach chłopskich. Kurs rozpoczął się 15 maja. Prócz zasad mleczarstwa wykładane będą podstawy racjonalnego żywienia krów oraz prowadzenia w społeczeństwie pracy i gospodarki współdzielczej. Jednostki żądne światła znajdą tam w tych, co ich uczyć będą nie obojętnych prelegentów, ale przewodników — braci, łamiących się z nimi serdecznie chlebem wiedzy zawodowej i ogólnej.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* *Pokłon wielkiemu panu.* Widząc bezmierne bałwochwalstwo naszej „demokracji" dla możnowładztwa — pisze H. D. w *Kulturze Polskiej* — zawsze dziwiłem się, że ono jest dla niej tak grzeczne i wspaniałomyślne. Zwłaszcza arystokraci błękitnokrwiści, nawet opromienieni blaskiem historycznym potomkowie tych rodów, których główną chwałą i zasługą było zdobywanie dochodowych starostw, burzenie ładu państwowego, rozdzieranie i sprzedawanie ojczyzny, nawet ci mogliby na wielu naszych lekarzy, prawników, inżenierów, literatów i „równych wojewodzie" pluć w przejeździe samochodami, i w odpowiedzi zyskać głębokie ukłony. A oni tego nie robią, owszem zasiadają z nimi razem w zarządach i przy stołach biesiadnych, spotykają się na balach i giełdzie, podają im ręce, a nawet zapraszają do siebie. Przed kilku tygodniami zdarzył się klasyczny przykład dumnej godności naszego demokratyzmu. Jest jeden wielki pan polski, który naprzód rozsławił się polowaniem na dzikie zwierzęta w Indjach, wydawszy na tę rozrywkę kilkaset tysięcy rubli. Ten sam pan przegrał następnie w klubie wiedeńskim miljon (za ścisłość cyfry nie ręczę) koron, co go uczyniło bohaterem głośnym nietylko w prasie polskiej, ale i wszechświatowej. Dalszej kroniki podobnych czynów, które również publicznie zaznaczano, nie przytaczam. Otóż ten sam pan uznał, że po kosztownych polowaniach i grach nadeszła w jego działalności obywatelskiej kolej na ofiarę dla.. nauki i kupił dom Towarzystwu Naukowemu w Warszawie. Gdyby jego dar przepłynął cicho w potoku wypadków bieżących, powiedzielibyśmy: chociaż późno i w skromnej mierze, ale wreszcie jakiś arystokrata polski uczuł w swym sumieniu obowiązek rzucenia społeczeństwu drobnej kruszyny ze swych olbrzymich bogactw. Ale dla uczczenia tej jałmużny urządzono jedno z najbardziej gorszących widowisk, do jakich nasz styl „demokratyczny" jest zdolny. Dobroczyńca zaprosił do swego pałacu obywateli i literatów, przypomniał im zasługi swych przodków dla nauki, a olśnieni słuchacze, zapomniawszy o łowach indyjskich i hazardzie wiedeńskim, zapomniawszy o stosunku ofiary do bogactw pana, pochylili głowy do jego stóp z pokorą i wdzięcznością. Nazajutrz pisma „demokratyczne" huknęły salwą uniesień, jaką tylko nasze moździerze dziennikarskie wystrzeliwać umieją. Niedość tego. Posypały się poważne składki na obdarowaną instytucję. Towarzystwo Naukowe istnieje od lat kilku, jego potrzeby były powszechnie znane i nie pobudzały pełnych kieszeni do hojności. Dopiero gdy hrabia dał przykład — wtedy położenie się zmieniło, wtedy nagle zrozumiano i odczuto, że trzeba wesprzeć „świątynię nauki". U nas tak zawsze. Niech jakiś chudopachołek odda ogółowi wszystko, co posiada, niech wezwie innych do ofiarności na jakąś doniosłą sprawę, staną obok niego ze swymi groszami podobni chudopachołkowie, ale żaden pieniężnik nie wzruszy się ani jego czynem, ani jego przedsięwzięciem. Ale za to niech jakiś hrabia wsadzi w coś swoją kopiejkę, natychmiast posypią się sowite datki, chociażby szło o wybudowanie kaplicy na Sumatrze. Towarzystwo Naukowe mogłoby być tysiąc razy pożyteczniejsze i biedniejsze, niż jest, nie zyskałoby pokaźnych zasiłków, gdyby nie zwrócił na nie swej łaski wielki pan.

* Bierność nie jest zapewne największą z naszych przywar narodowych, ale niezawodnie najpospolitszą; toteż zwykliśmy z ogromną skwapliwością i nader ochoczo korzystać z każdej sposobności powstrzymania się od czynu. Doszło do tego, że gdy na całym świecie ludzie i stronnictwa klasyfikują się według zamierzonych działań, u nas głównym w tych rzeczach probierzem jes *abstynencja.* Jedne bowiem grupy propagują bojkot wyborów, inne radzą wyrzec się kultury, inne wreszcie rozkazują uchylić się od udziału w pracach zgniłego zachodu.

Do tej ostatniej kategorji należą sfery klerykalne, skłócone z całym współczesnym światem Tym łatwiej przyszło lwowskiemu Tow. Dziennikarzy uchylić się od udziału w rzymskim kongresie prasy, że inicjatywa bierności wyszła od kleru, podwójną stanowiąc przynętę: jako możność *nie zrobienia* pewnej rzeczy i akt pobożny, miły Bogu, przepojony odorem świętości.

Nasi lwowscy koledzy nie próbowali nawet opierać się tak potężnej pokusie; byliśmy też zmuszeni przypiąć im do pleców miano „ostatnich Szuanów"; ze swej strony z niezwykłą, jak na brukowy organ, odwagą wystąpił *Dzień* przeciw haniebnemu marazmowi prasy polskiej, słusznie żądając od jej zawodowych korporacji większego zrozumienia własnych potrzeb i większej ruchliwości:

> W świeżo zakończonym kongresie prasy międzynarodowej Polacy nie brali żadnego udziału, ponieważ odbywał się w Rzymie. W zeszłym roku w tymże kongresie nie brali udziału Polacy, dlatego, że zwołany był w Berlinie.
>
> Od zjazdu słowiańskich dziennikarzy w roku ubiegłym Polacy odsunęli się manifestacyjnie, ponieważ odbywał się w Sofji. W tym roku na takiż zjazd Polacy również się nie wybierają, bo odbędzie się on w Białogrodzie.
>
> Wszędzie więc dla takich lub innych powodów stale uchylamy się od zaznaczenia istnienia prasy polskiej
>
> Ale może istnienie nasze manifestujemy w inny sposób!?

[1]) Adres: Gub. Płocka, p. Ciechanów, Sokołówek.

Gdyby prasa czeska, niemiecka, lub francuska w tym roku obchodziła jubileusz 250-cio letniego powstania, gwarno by o niej było w całej Europie, na całym świecie. Odbywałyby się zjazdy, wystawy prasy, ogłaszanoby specjalne wydawnictwa.

Czynionoby to z pobudek narodowej dumy i interesu politycznego.

U nas?

Od parady mamy w Warszawie Towarzystwo Literatów i Dziennikarzy, które naturalnie nic nie robi, poza akcją sądzenia członków i szukania wrogów na prawo i lewo.

Projekt zjazdu ogranicza się do korespondencji między Warszawą i Lwowem, Lwowem i Warszawą. Rok jubileuszowy minie i ku wstydowi prasy polskiej na nic realnego się nie zdobędziemy.

W porę więc jeszcze zapytujemy, czy nowy odświeżony zarząd Tow. literatów i dziennikarzy w Warszawie, zamierza zajmować się sprawami zmierzającymi do podnoszenia powagi prasy polskiej, czy też ogół pisarski ma myśleć o stworzeniu nowego jeszcze, tym razem już trzeciego stowarzyszenia, któreby żywotniej służyło interesom naszego zawodu?

Interpelacja *Dnia* sprowadza się do kwestji obchodu jubileuszowego prasy polskiej, kwestji bardzo ważnej, a postawionej na porządku dziannym z inicjatywy tego właśnie pisma, co mu za wielką zasługę poczytać należy.

My jednak łączymy do tego inne pytanie zasadniczej wagi:

— Czy Tow. Literatów i Dziennikarzy wie o tym, że w roku bieżącym prasa polska, wyrzekłszy się udziału w kongresie rzymskim *na rozkaz kleru*, nietylko zaniedbała własnych interesów zawodowych, ale naraziła swą opinję i godność swoją na szwank w oczach całego świata; a jeśli wie o tym wspomniane „odświeżone" Towarzystwo — to co zamierza przedsięwziąć, aby podobne rzeczy nadal się nie powtarzały?

Pytanie nasze spotka się zapewne z wymownym... milczeniem.

* *Dziennik Powszechny* umie być logicznym. Ubrdawszy sobie, że socjalizm nieprzejednany przydać się może do zniszczenia całej bezbożnej kultury współczesnej, troska się tylko oto, żeby sprostować i ułożyć stosunek socjalizmu do religji.

W tym celu, podjąwszy studjum niejakiego d-ra Müllera w Soc. *Monatshefte*, dowodzi organ warszawskich klerykałów, że

> chcąc stworzyć organizacje socjalistyczne, trzeba koniecznie użyć siły religji, bez której wszelki ruch socjalistyczny będzie próżny.

W końcu zaś, wślad za wspomnianym d-rem Müllerem zaznacza, że

> socjalizm współczesny winien poddać sumiennej krytyce pojęcia swe o religji, o jej istocie i wpływie na postęp ludzkości, odrzucając mężnie wszystkie swe stare przesądy w tym względzie.

Śpieszymy upewnić, że zarówno *Soc. Montshefte* jak i *Dziennik Powszechny* mają najzupełniejszą rację.

Istotnie socjalizm, w starej nieprzejednanej swej formie, obfituje w dziwaczne przesądy w tym względzie. Wyolbrzymiwszy znaczenie czynników ekonomicznych w dziejach do potwornych rozmiarów, socjalizm lekceważył sobie wpływ religji na życie ludzkosci, nie rozumiał wcale motywów wierzeniowych, przeoczał siłę klerykalizmu i szkody, jakie ztąd wynikają, zwłaszcza zaś niedoceniał roli prądów wolnomyślnych i antyklerykalnych w polityce dzisiejszej. Dopiero wielostronne. i smutne doświadczenie dowiodło, że słynna formuła gotajska („religja — to rzecz prywatna") jest, grzecznie mówiąc, absurdem.

Lecz, wbrew pobożnym intencjom d-ra Müllera tudzież nadziejom *Dziennika Powszechnego* zmiana tych przestarzałych poglądów nie doprowadzi bynajmniej do zbratania czerwonej i czarnej międzynarodówki, ale, wręcz przeciwnie, zmusi socjalistów liczyć się poważniej z prądami wolnomyślnymi zwłaszcza w krajach katolickich i kulturalnie zacofanych; zjawisko tego rodzaju daje się zauważyć w Portugalji i Hiszpanji, nie jest ono obce i Belgji, gdzie stanął silny blok wolnomyślny na całej lewicy; prędzej czy później powtórzy się to samo w Austrji, by wreszcie dotrzeć i do polskiej ziemi.

* T. zw. przez prasę lewicową rosyjską „wielki dzień" w Izbie rozważany jest w prasie naszej pod kątem sceptycznego chłodu; wybornym wyrazem tego nastroju jest artykuł *Gazety Warszawskiej* p. t. „Trzeci okres trzeciej dumy", który właściwą przyczynę niepowodzeń p. Stołypina wyjaśnia w sposób następujący:

> Życie trzeciej Dumy, która ma za sobą już cztery lata istnienia, a przed sobą jeszcze rok piąty, można podzielić na trzy okresy:
>
> Pierwszy okres, kiedy posłowie i partje mają w świeżej pamięci programy, z którymi występowali przed wyborcami, i kiedy w Dumie te programy śmiało lub nieśmiało wygłaszają. W tym okresie rząd występuje z pewną ostrożnością, starając się zbytnio nie ujawniać sprzeczności swego stanowiska z programami większości Izby.
>
> Drugi okres, kiedy posłowie zdołali już zapomnieć o programach wyborczych, kiedy są całkowicie do rozporządzenia rządu. Wtedy rząd działa mniej więcej bez ceremonji.
>
> Wreszcie okres trzeci, kiedy wobec zbliżania się nowych wyborów, posłowie zaczynają myśleć o przyszłych mandatach, a co za tym idzie, przypominać sobie i przepowiadać programy, potrzebne do ich uzyskania.
>
> Obecnie trzecia Duma weszła już w trzeci okres, i dlatego rząd, który rozmachał się na dobre w swej polityce i w bezceremonialnym jej przeprowadzeniu, zaczyna napotykać na poważne trudności ze strony wiernej do niedawna większości Izby.

Nawiasem dodać należy, że to spostrzeżenie stosuje się do wszystkich na całym świecie ciał prawodawczych, stanowiąc zrozumiały zresztą przyczynek do psychologji rządów przedstawicielskich; ale narazie nie o dociekania psychologiczne winno nam iść lecz o możliwe wykorzystanie nastroju Dumy „trzeciego okresu", bo tam, jak widać, zoologiczny rządowy nacjonalizm przestaje być skuteczną i wyłączną podnietą.

* W sprawie zabezpieczenia losów Muzeum Narodowego w Rapperswilu opinja publiczna wyczerpała wszelkie środki reagowania — nadaremnie. P. Gałęzowski w znanym swym liście urąga się wprost cynicznie z głosów tej opinji. Z tego powodu *Goniec* pisze:

> Już z tego listu wiemy, jaka będzie odpowiedź i zwracamy uwagę, że na takich ludzi, jak pp. Gałęzowski i Różycki innych potrzeba jąć się środków. Do ich sumienia i uczciwości odwoływać się nie można. Jedyną bronią jest odwołanie się do sądów szwajcarskich, aby położyły kres marnotrawczym, a z punktu widzenia skutków — grabieżczym instynktom tych panów. Rada m. Rapperswilu ma prawo kontroli nad Muzeum i należy nam z tej kontroli skorzystać.
>
> Panowie bowiem Gałęzowski wraz z całą Radą należą widocznie do tej kategorji ludzi, którzy reagują jedynie na siłę. Opinja krajowa ma możność wypowiedzenia się przez usta różnych instytucji i prasy I to czyni. Siły usunięcia szkodników społecznych z Rapperswilu niema. Z tego też korzystają pp. Gałęzowski i Różycki. Kpią oni cynicznie z opinji, a ściśle mówiąc z fizycznej i prawnej bezsilności tej opinji. A to z punktu widzenia moralno-społecznego nazywa się defraudacją, lub po staropolsku łajdactwem.
>
> Na zarzuty rapperswilskie każdy Polak odpowiedziałby natychmiast tak: pod moją kontrolą zmarnowało się dobro publiczne, chodźcie, sprawdzajcie, żądam kontroli. Jeżeli zarzuty okażą się prawdziwe — wynagrodzę, o ile będę mógł. Chcę być czysty.
>
> P. Gałęzowski wie, że zarzuty są słuszne, bo niechlujstwa i nadużycia tolerował z całą świadomością. I co robi

taki pan? Mówi, że za kilka miesięcy raczy odpowiedzieć, daje do zrozumienia, że na tym się skończy, bo jemu i Radzie tak wygodnie, boć ich przecież nikt usunąć nie może. Na podobnie arogancki, cyniczny, nic sobie z opinji krajowej i z niszczenia Muzeum Narodowego nie robiący ton, mogą się zdobyć tylko moralni defraudanci.

* P. Iza Moszczeńska zastanawia się w *Kur. Por.* nad losem tradycji historycznych. Rzecz to znana, że potomność pojmuje je i urabia na tle późniejszezej ewolucji uczuć, pojęć i nastrojów. Ale u nas powyższa subjektywna dowolność przekracza wszelkie granice, rzekoma cześć dla tradycji idzie w parze z najbrutalniejszym przerabianiem ich i przykrawaniem *ad usum* najmarniejszych interesów lub kaprysów dnia bieżącego.

Stronnictwa konserwatywne czynią, co mogą, by w swym ręku zmonopolizować wszystkie pamiątki i tradycje po nieboszczykach, a z tymi relikwiami narodowymi obchodzą się nielepiej, niż pan kustorz Muzeum rapperswilskiego z przechowywanymi tamże zabytkami: jedne marnują, inne fałszują, inne wreszcie fabrykują na prędce dla wzbogacenia narodowej świątyni. Bezkrytyczny tłum idzie na lep tej tandety pseudo-historycznej i pseudo-patrjotycznej, z czcią spogląda na szlify oficerskie mniemanego Bartosza Głowackiego, a odwraca się plecami od dokumentów, dotyczących piękniejszych chwil w życiu narodu. Dzieje się to nietylko w Rapperswilu.

Uwagi powyższe nasunął autorce projekt przeniesienia do kraju zwłok kardynała Ledóchowskiego. Znaczna część opinji gotowa jest przypisać odpowiedniej uroczystości znaczenie wielkiej manifestacji narodowej.

Kiedy kardynał Ledóchowski obejmował stolicę prymasowską, nie pozostawiał nikomu najmniejszej wątpliwości, że będzie na niej wyłącznie reprezentował interesy kosmopolityczne „Kościoła Powszechnego". Arystokrata o cudzoziemskim wychowaniu, dygnitarz dyplomacji watykańskiej w zamorskich krainach — nie zadziwił nikogo, ale wszystkich zraził, gdy na pytanie o swą narodowość, odpowiadał: „Romanus sum". W tym duchu zarządzał archidjecezją. Z jego zarządzenia całkowicie usunięto polskie śpiewy z kościołów i zastąpiono łacińskimi, aby obalić wszelkie preteksty do identyfikowania katolicyzmu z polskością i podpierania zagrożonej narodowości niespożytą mocą opoki Piotrowej.

W stosunku do rządu pruskiego kardynał Ledóchowski serwilizmem wiernopoddańczym prześcigał najpatrjotyczniejszych urzędników niemieckich. On pierwszy pośpieszył do Wersalu winszować Wilhelmowi I-mu pogromu Francuzów i korony cesarskiej. Nieugiętym i opornym okazał się dopiero wtedy, gdy w pamiętnym „Kulturkampfie" państwo próbowało położyć rękę na przywilejach Kościoła.

A więc konwencjonalna tradycja, polegająca na lekceważeniu pamięci historycznej, zrobiła z kardynała wielką postać patrjotyczną. Z tym objawem zestawia p. Moszczeńska fakt donkiszoterji klerykalnej, jaką uprawiają zorganizowani literaci i dziennikarze polscy względem kongresu prasy w Rzymie. Panowie ci, jak wiadomo, zdążyli się już pogodzić z wielu, z bardzo wielu rzeczami, z zastrzeżeniami i „bez zastrzeżeń", pozostali jednak nieprzejednani na punkcie świeckiej władzy papieża.

Z prasy rosyjskiej.

* *Po pięciu latach.* W dniu 10-ym b. m. upłynęło lat pięć od czasu zwołania 1-ej Dumy. Przypominając tę datę, jeden z wybitniejszych Kadetów, Jan Petrunkiewicz, poświęca tej rocznicy kilka gorących słów w *Rieczy.* Porównywając następnie położenie rzeczy przed laty pięciu z obecnym, p. Petrunkiewicz pisze:

Teraz nacjonalizm jest zasadniczym dogmatem polityki państwowej i interesów narodowo rosyjskich. Rosja dla Rosjan i wszystkie strumienie „inorodcze" powinny skierować swoje wody do morza rosyjskiego. Żadne prawo historyczne narodowości „inorodczej" nie może i nie powinno ograniczać prawa rosyjskiej władzy państwowej, ponieważ podstawą państwa jest siła, nie prawo, i Rosja „nie pożąda miłości narodowości obcych", podbitych orężem rosyjskim".

Przechodząc do polityki wewnętrznej rządu w rdzennej Rosji, p. Petrunkiewicz zwraca uwagę na uprawiany przez rząd stale system dzielenia ludności na kategorje i kurje według stopnia ich prawomyślności.

Nad tymi wszystkimi kurjami w interesach silnej władzy panuje zupełna samowola nieodpowiedzialnej administracji miejscowej, wydającej swe miejscowe prawa i rozporządzenia, zamieniające wszelkie prawa osobiste, publiczne i majątkowe w zupełną iluzję. Nietykalność osobista, wolność religijna, wolność słowa, prasy, zebrań, związków— wszystko to oddane zostało na pastwę interesów państwowych. Porządek, potym reformy — taki dawno ogłoszony program rządu. Państwo powinno odnowić swoje siły, wzmocnić osłabioną władzę, a liczne narodowości, zaludniające Rosję uczynić uległymi dla interesów narodowych rosyjskich. Stawka na silnych — taka jest dewiza silnego rządu.

W dalszych swych uwagach p. Petrunkiewicz zastanawia się nad ewolucją przedstawicielstwa narodowego w ciągu lat pięciu, kończy zaś swój artykuł następującymi słowy:

Powodzenie polityki siły, to powodzenie względne i nietrwałe. Państwo rosyjskie stosowało tę politykę siły ze szczególną energją w ciągu całego XIX-go wieku i nie uniknęło ani powstań, ani buntów, ani klęsk wojskowych i innych katastrof. Zawsze nadawało mało znaczenia twórczej sile idei i kultury, to też sądzimy, że przedstawicielstwo narodowe, które nie chce przeciwstawiać prawa sile i wolności — gwałtowi, nie zasłuży na wdzięczność potomstwa. Ale doświadczenie historyczne każe nam patrzeć bez obawy na przyszłe losy naszego przedstawicielstwa narodowego: znamy wypadki czasowego upadku wolności i ustroju konstytucyjnego, lecz obserwujemy stały i ustawiczny wzrost roli oraz znaczenia i przedztawicielstwa narodowego i zabezpieczenia wolności i prawa od zamachów samowoli władzy.

Tą wiarą i otuchą w lepszą przyszłość wita Petrunkiewicz piątą rocznicą istnienia przedstawicielstwa narodowego w Rosji.

O ile chodzi o dalszą przyszłość jest to wiara niewątpliwie uzasadniona i słuszna. Wszelako najbliższe nam wypadki chwili obecnej przesłoniły ją chmurą fatalnego mroku.

* *Wielki dzień.* „Wielkiemu dniowi" w Dumie Państwowej poświęca *Riecz* artykuł, zawierający dosadną charakterystykę przemówienia premjera, oraz wysnuwający z tego przemówienia wnioski na przyszłość.

Od początku do końca apologja P. A. Stołypina była zdecydowaną obroną prawa jego — naginania życia do „jego" ideałów. Tak jest pewny swojej słuszności, że nawet nie zniża się do „zasłaniania się prawem formalnym". Oczywiście i „prawo formalne" jest po jego stronie. Po jego stronie jest i „autoryt nauki", — coprawda tym razem bezimienny.

...P. A. Stołypin łaskawie zniża się do dawania Dumie wyjaśnień, ale na zasadzie par. 4, nie 58. Innymi słowy, P. A. Stołypin postanowił dla siebie, że „interpelacja" jest tylko „zapytaniem", a odpowiedź jego, to tylko osobista uprzejmość względem Dumy.

Wogóle przyszłość par. 87 jest zapewniona, bowiem scysja izb prawodawczych jest zjawiskiem stałym. Rząd jest przenikliwy. Musi on przewidzieć, że Rada Państwa i Duma napewno zetrą się, dla jednej projekty rządowe są zbyt reakcyjne, dla drugiej — zbyt radykalne. Jeżeli rząd się nie wtrąci, to nastanie „królestwo makaronu, zastój we wszystkich reformach zasadniczych".

Możnaby zapytać się, czy te maleńkie braki mechanizmu nie naprowadzają na myśl o niezbędności gruntownej jego przebudowy? Ale tu właśnie... rząd może pokazać się, rozwijając „ideały" i osobiste „impulsy woli". Miał-

żeby zadowolić się skromniejszą funkcją „poprawnego i machinalnego obracania koła rządowego“ lub choćby tylko okazać „pewną dozę cierpliwości“, dopóki nastroje prawodawcze nie „zmienią się?“ Ależ nigdy w życiu. To mogło być dobre dla Bismarka, cytowanego przez p. Makłakowa, ale nie dla P. A. Stołypina. Szczególniej gdy idzie o sprawę „pierwszorzędnej wagi narodowej“. Cokolwiek mogliby przeciwnicy premjera powiedzieć, on sam wie doskonale, że w „duszy“ współczują mu.

Do tego czytania w sercach ludzkich pomagają mu próby stosunków z grupami „inorodczymi“. Tak np. P. A. Stołypin doskonale wie, że Polacy „milcząco aprobują odgrodzenie ich od gniotącego wpływu ludności żydowskiej“.

Wie on — i chętnie dzieli się z Dumą tym sekretem, że wkrótce niemcy Kraju Nadbałtyckiego zażądają tego samego względem łotyszów i estonów.

Dla P. A. Stołypina wybór jest wyraźny: albo tryumf „zasady rosyjskiej“ albo „federacyjna era historji Rosji“.

P. A. Stołypin i przedstawicielstwo ludowe mówią widocznie rozmaitymi językami i wzajemnie się nie rozumieją. Mowa premjera ciekawa jest, jako jeszcze jeden, może zbyteczny, dowód tej zupełnej niezdolności rozumienia. Ulubiona jego sentencja — „gouverner c'est prévoir“ nietylko nie odpowiada beznadziejnemu poziomowi rozumienia, ale jest nawet w najjaskrawszej sprzeczności z nim i dokładnie tłómaczy, dlaczego sam wyraz „gouverner“ zupełnie nie daje się zastosować do systemu „rządzenia“ P. A. Stołypina. Pomiędzy prawidłowym, legalnym „rządzeniem“, a nieustającą zmianą „impulsów woli“ jest taka różnica jak pomiędzy dwoma „światopoglądami“, z których jeden oparty jest na pojęciu prawa, drugi — na pojęciu cudu. To są, rzeczywiście, „dwa różne światy“.

Naturalnie, zupełnie inaczej ocenia sprawę *Now. Wremia.* Z natury rzeczy jednak obrona straconej sprawy musi być słaba. Powtarza się więc górnobrzmiące frazesy o „drodze ciernistej” i o „drodze spokojnej”, o wielkiej odpowiedzialności rządu, wreszcie nielogiczny i zdruzgotany przemówieniem posła Makłakowa zarzut zakusów na prerogatywy Monarchy.

Z ulgą zwraca się *Now. Wremia* do mowy p. Gołołobowa, „jaskrawej i silnej”, i w zupełności podpisuje się pod jego zdaniem. Mianowicie gazeta Suworińska wraz z p. Gołołobowem twierdzi, że głównym i jedynym motywem akcji przeciwko P. A. Stołypinowi jest dążenie do obalenia go. Stąd wypływa nieosiągnięta w pierwszej i drugiej Dumie odpowiedzialność gabinetu, podległość władzy wykonawczej władzy prawodawczej.

W ostatecznej konsekwencji prowadzi to do parlamentaryzmu na modłę zachodnio-europejską, resp. udostępnienia otrzymania tek ministerjalnych „panom parlamentarzystom”.

Zła wola Dumy sięga tak daleko, że puściła ona mimo uszu oświadczenie premjera, iż zatarg rządu z Radą Państwa wzmocnił tylko stanowisko „naszego młodego przedstawicielstwa ludowego”. Tymczasem niewdzięczne młode przedstawicielstwo

zebrało 202 głosy przeciwko 88, t. j. więcej niż dwie trzecie za przyjęciem formuły, ganiącej postępowanie gabinetu.

Ostatni odruch, na jaki *Now. Wremia* zdobyło się, to gest groźny pod adresem kozła ofiarnego — październikowców, którzy

chcąc za wszelką cenę usprawiedliwić swą reputację kadetów 2-go gatunku, obarczyli sumienie swe grzechem, za który srogo zapłacą.

Należałoby przypuszczać, że *Now. Wremia* zorganizuje wkrótce „lege artis” pogrom październikowców. Że jednak pora ku temu widocznie nie jest odpowiednia, ogranicza się gazeta do odmówienia październikowcom „raison d'etre”.

KRONIKA.

NIESZCZĘSLIWA „MOJA PANI”. Mieszkanka wsi Kajetanowo, gminy Straszewo, Stanisława Kostecka, wyrokiem sądu gminnego 1 okręgu powiatu nieszawskiego za kradzież chusteczki i rękawiczek u księdza Godlewskiego w Konczku została skazana na $1^1/_2$ miesiąca więzienia. Zjazd sędziów Pokoju w dniu 12 maja uniewinnił Kostecką, z powodu braku dowodów.

Według zeznań świadków, ksiądz, mszcząc się na Kosteckiej za to, że nie chciała zgodzić się na jego sprośną propozycję, posądził ją o kradzież chusteczki i rękawiczek. Kostecka, nie poczuwając się do winy, po skazaniu ją przez sąd gminny, chcąc apelować zmuszona była złożyć 10 rb. kaucji.

STATYSTYKA DUCHOWIEŃSTWA. Najmniejsza djecezja Sejneńska liczy 352 kapłanów; na 682, 955 wiernych, czyli jeden kapłan przypada na 1,993 wiernych. Płocka — 380 kapłanów na 810,299, czyli 2,132 na jednego; Włocławska — 563 kapłanów na 1,420,626, czyli na jednego kapłana 2,654; Sandomierska — 292 na na 863,110 czyli jeden na 2,951; Kielecka 339 na 979,884 czyli blizko trzy tysiące na jednego kapłana; Warszawska 552 kapłanów na 1,798,669 czyli jeden na 3,446 wiernych; Lubelska 400 kapłanów na 1,599,203, czyli jeden kapłan na 4 000 wiernych.

Razem w Królestwie Polskim w roku 1910 było 2,821 kapłanów na 8 miljonów 154 tysiące 747 katolików.

LIST DO REDAKCJI.

Szanowna Redakcjo!

Jako mężowie zaufania ś. p. Stanisława Brzozowskiego w sądzie, zwołanym na jego żądanie w r 1909 w sprawie oskarżenia, przeciw niemu podniesionego, upraszamy o łaskawe umieszczenie następującego oświadczenia.

Urząd mężów zaufania przyjęliśmy w powyższym sądzie w głębokim przeświadczeniu o zupełnej niewinności ś. p. Stanisława Brzozowskiego.

Po kilku posiedzeniach i przesłuchaniu całego szeregu świadków, sąd został odroczony, by umożliwić obronie zebranie dalszego materjału.

Z powodu ciężkiej choroby ś. p. Stanisława Brzozowskiego, która wyjazd jego z Florencji i współudział w sądzie w Krakowie czyniła niemożliwym — dalsze posiedzenia sądu odbyć się nie mogły.

Wobec śmierci ś. p. Stanisława Brzozowskiego poczuwamy się do obowiązku oświadczenia, że dotychczasowy przebieg rozprawy sądowej nietylko nie zachwiał w nas przekonania o zupełnej niewinności ś. p. Stanisława Brzozowskiego, lecz zarazem dał nam podstawę do przypuszczenia, że autor oskarżenia, złudzony podobieństwem cech zewnętrznych padł ofiarą omyłki, wywołanej przez trzecią osobę, która z tego podobieństwa świadomie korzystała.

Z wysokim poważaniem
Dr Rafał Buber
inż. Jędrzej Moraczewski.

Lwów, d. 12 maja 1911.

Książki nadesłane do Redakcji:

Wacław Sieroszewski: „Risztau“. — „Pustelnia w górach“. — „Czukcze“. Wydanie drugie. Spółka nakładowa „Książka“. Kraków, 1911, Str. 220.

Wacław Grubiński: „Moc Kamienna“. Nowele. Spółka nakł. „Książka“, 1911, Str. 144.

Marcelina Kulikowska: „Z wędrówek po kraju“. Kraków, Spółka nakł. „Książka“, 1911, Str. 134.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy” (wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70. kwartalnie rb. 2, rocznie rb 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystk ch miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kjoskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Wydawca **Józef Jabłoński.** Redaktor **Aleksander John.**

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Mazowiecka 8.